EDWARD SŁOŃSKI

NA PROGU POLSKI

EDWARD SŁOŃSKI

NA PROGU POLSKI

Z INICJAŁAMI I RYCINAMI
E. NIEWIADOMSKIEGO

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ—POZNAŃ
THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC., NEW YORK

II.522.899.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1921

I

Babcia Lusia, pani Nowowiejska, mieszkała we Lwowie. Luś nie znał babci, a właściwie nie pamiętał jej. Podobno, mając trzy lata, był u niej z rodzicami we Lwowie, ale nawet najmniejszy szczegół z tej bytności nie pozostał w jego pamięci. Coś mu się co prawda majaczyło w głowie, jakaś twarz dobra, jakiś uśmiech słodki, czy jednak była to babcia, czy kto inny, tego żadną miarą uprzytomnić sobie nie umiał.

To też zmartwił się i posmutniał, dowiedziawszy się od ojca, który tego roku w połowie sierpnia przyjechał do Niemirowa, gdzie Luś spędzał wakacje u dziadunia, że z początkiem roku szkolnego pojedzie do Lwowa. Tak uradziły na radzie familijnej, która zaraz po przyjeździe ojca się odbyła, wszystkie bawiące podówczas w Niemirowie ciocie, nie wyłączając cioci Kazi, wraz z dziaduniem i panem Nowowiejskim na czele.

Nic nie pomogły prośby, ani przekonywania. W Warszawie nie mógł pan Nowowiejski otoczyć Lusia należytą opieką, pracował

bowiem sam poza domem i stołował się na mieście, a Luś był dzieckiem wątłem, jakkolwiek białe bułeczki niemirowskie i słodkie leguminki dziadunia sprawiły, że utył i zmężniał do niepoznania.

Uchwała zapadła — trzeba będzie jechać do Lwowa. Przez cały pierwszy dzień Luś płakał, drugi dzień spędził przy fortepianie. Żałował szkoły i kolegów i ojca i całej Warszawy. Wiedział, że Lwów leży gdzieś na końcu Polski, że wobec utrudnień rozmaitych okupacyj i kordonów, władz wojskowych i cywilnych, nawet na święta Bożego Narodzenia nie będzie mógł przyjechać do Warszawy, więc siedział do późna przy fortepianie i grał z żałości wielkiej i zmartwienia, myśląc, że tą muzyką chociaż dziadunia, który ją tak świetnie rozumiał, przekona.

Nie przekonał jednak, bo wieczorem, kiedy przyszedł oddać mu dobranoc, dziadunio, całując go w czoło, powiedział:

— Podobno babcia we Lwowie ma prześliczne pianino.

Lusiowi przeciągnęła się twarzyczka.

— A, niech tam! — zawołał. — Ja już grać nie będę.

Nadąsany udał się do swojego pokoju, a nazajutrz grał znów do obiadu bez nut, jakieś dziwaczne melodje.

Wygderała go za to ciocia Kazia, powiedziała mu, że do reszty popsuje szkołę.

Ale Luś i następnego dnia znowu psuł szkołę.

Widząc jednak, że jego złe humory nie przekonają nikogo, uspokoił się powoli i przyszedł do siebie. Pogodził się z myślą wyjazdu do Lwowa i dwa ostatnie tygodnie pobytu swego w Niemirowie spędził na przygotowaniach do podróży. Układał rzeczy do walizki, naklejał na duże arkusze papieru zasuszone w lecie rośliny i porządkował swoją małą bibljoteczkę.

W końcu sierpnia pożegnał się z lasem niemirowskim i jeziorem, z krętemi dróżkami w sadzie i ze starą lipą przed gankiem i, wycałowany przez dziadunia i wszystkie ciocie i wszystkie dzieci, pojechał z panem Nowowiejskim do Warszawy.

W Warszawie w dalszym ciągu był zajęty pakowaniem rzeczy

i żegnaniem się z kolegami. Odwiedzał ich kolejno, opowiadał o zamierzonym wyjeździe do Lwowa, o dziaduniu w Niemirowie i o babci, której jeszcze nie znał.

Słuchali jego opowiadań koledzy i zazdrościli mu tej podróży.

— Jakiś ty szczęśliwy! — mówili.

A był jeden, który znał Lwów lepiej niż Warszawę. Ten opowiadał o nim prawdziwe cuda. Mówił, że to polskie miasto, że Moskale tam byli tylko w czasie wojny i że Austrjacy nie są podobni do Moskali, i mówił jeszcze, że tam są również Rusini.

Bardzo mało zrozumiał Luś z tego opowiadania, zaczynał jednak być dumnym z tego, że jedzie do Lwowa.

Jakoś po kilku dniach pobytu w Warszawie znalazł się pewnego wieczora obok ojca w przedziale pociągu odchodzącego do Krakowa. Całą tę noc nie zmrużył oka, myślami wyprzedzał pociąg, biegł w ten daleki, nieznany sobie świat, który się Polską nazywał. Był ciekaw tej Polski, tych Austrjaków i Rusinów.

Zmęczony niespaną nocą w piękne słoneczne rano znalazł sią wreszcie w Krakowie, gdzie ojciec zamierzał dwa dni zabawić.

Tych dwóch dni Luś nigdy nie zapomni. Przywidziało mu się coś i przyśniło w tym Krakowie starym pod murami Wawelu, w podziemiach katedry, w dostojnej ciszy grobów królewskich. Przypomniał mu się prześniony w Niemirowie dziwny sen o Zatopionem królestwie.

Wydało mu się, że na mule królewskim wjeżdża na zamek i gra na swojej zaczarowanej fujarce. Tłum mieszczan w szatach odświętnych wita go przed zamkiem, a sam król sędziwy wraz z królową o wypłakanych oczach wprowadza go na komnaty zamkowe...

Tylko ten obiad wojenny, który potem jadł z ojcem u Pollera, nie był podobny do uczty królewskiej na zamku w Zatopionem królestwie.

Następnego dnia pokazał mu ojciec Smoczą jamę i kopiec Kościuszki, a wieczorem, gdy się znaleźli w hotelu, długo opo-

wiadał mu o Polsce i o Wawelu, i o królach, których trumny oglądali w podziemiach katedry. Głęboko w duszę zapadły Lusiowi słowa ojca, wzruszyły go i zaniepokoiły. Dziecięca jego wyobraźnia zaczęła tworzyć bajkę o Polsce. Z dużych, ciężkich trumien powychodzili królowie, święty Stanisław celebrował mszę u ołtarza. Ale Luś nie wysłuchał mszy do końca, bo zasnął, a gdy się obudził, trzeba już było jechać na dworzec, pociąg bowiem do Lwowa odchodził rano.

Jakże długa wydała mu się ta podróż do Lwowa! Pociąg szedł wolno i postoje na stacjach były nieskończenie długie. Nikt nie umiał objaśnić na co czekają i kiedy wyruszą dalej. Były to jakieś zarządzenia władz wojskowych dla wszystkich niezrozumiałe. To też, kiedy późnym wieczorem pociąg wtoczył się wreszcie przed peron lwowski, Luś myślał, że jest gdzieś na końcu świata.

Dziwił się też niemało, jadąc z dworca na ulicę Zieloną, gdzie właśnie mieszkała babcia, że takie miasto, leżące na końcu świata, jest tak wspaniale zbudowane i że ma takie piękne pomniki i ogrody. Co chwila wychylał się z powozu i zarzucał ojca tysiącem zapytań,

na które nieraz pan Nowowiejski, który bardzo mało znał Lwów, nie umiał odpowiedzieć.

— To ty, tatusiu, chyba nigdy nie mieszkałeś we Lwowie! — zawołał wreszcie Luś.

I tak też było w samej rzeczy — rodzice pana Nowowiejkiego mieszkali pod Tarnowem i babcia dopiero po śmierci dziadka przeniosła się do Lwowa.

Bardzo serdecznie przyjęła teraz pani Nowowiejska miłych gości. Nie wiedziała, że przyjadą, a gdy na wstępie dowiedziała się od syna, że Luś ma u niej pozostać we Lwowie, nie posiadała się z radości.

I Luś odrazu pokochał babcię.

Była prawie tego wzrostu, co on, i miała białe włosy, które na czubku przykrywała czarnym koronkowym czepkiem. Nigdy dotąd nie widział Luś podobnego nakrycia głowy, a jednak nie było mu ono obce, więc nie wiedział, coby to mogło być, i dopiero przy wieczerzy przypomniał sobie, że taką samą czarną koronkę nosiła na srebrnych włosach królowa z Zatopionego królestwa.

— Po kim, babciu, nosisz żałobę na głowie? — zapytał, kiedy wstawali od stołu.

Na to babcia uśmiechnęła się i ucałowała go w czoło.

— To nie żałoba, moje złotko, — powiedziała — ale taki zwyczajny czepek.

Tylko chyba cicha i słoneczna jesień polska umiała tak się uśmiechać, jak babcia, bo ledwie Luś spotkał się z jej uśmiechem, wnet poczuł, że jest u siebie w domu i że tak dobrze mu będzie z tą białą babcią, jak dobrze było w dalekim Niemirowie z dziaduniem.

Więc też zaraz po wieczerzy usiadł do pianina, które stało w saloniku, i gdy ojciec opowiadał babci o Warszawie i o Niemirowie, zaczął grać tę bajkę o Polsce, która mu się wczoraj śniła w Krakowie. A było w jego graniu wrzystko, co od wyjazdu

z Warszawy widział, począwszy od trumien w katedrze wawelskiej, a skończywszy na słodkim uśmiechu białej babci.

A kiedy skończył, wpadła do saloniku babcia.

— Co ty grasz, dziecko? — zawołała — Nigdy nic podobnego nie słyszałam.

— To ja bez nut, babciu... tak sobie... — tłumaczył się Luś.

Uściskała go babcia zato granie bez nut, i Luś słyszał, jak mówiła ojcu w pokoju jadalnym, że jej się to granie bardzo podoba, że jest takie jakieś dziwne i niesamowite.

Jeszcze przed wieczerzą Luś zwiedził całe gospodarstwo babci. Od ulicy dom był oddzielony ogródkiem pełnym klombów i małych doniczek z kwiatami, ustawionych rzędem pod ścianą. Za domem zaś był ogród owocowy, zakończony wysoką, ślepą ścianą sąsiedniej kamienicy. Na drzewach było pełno owoców, jak w Niemirowie.

I dom babci i ogród podobały się Lusiowi, to też, gdy po wieczerzy babcia wraz ze starą służącą Martą krzątała się koło urządzenia pokoju i pościeli dla gości, zaczął opowiadać ojcu o tem, co widział w podwórku.

— Takie duże jabłka na drzewach! — wołał — zupełnie jak w Niemirowie.

Wogóle Luś nawet nie wyobrażał sobie, że można mieć w mieście taki śliczny ogród. Tylko tam w Zatopionem królestwie były takie ogrody w mieście — zielone i kwitnące. Pamięta je. Na zielone trawniki spadały z nieba białe gołębie i małe dzieci skakały, jak wróble, po żółtych dróżkach.

— I altanka jest w ogrodzie — mówił w dalszym ciągu — i ławki. Tam będę odrabiał lekcje.

— Wiedziałem, że ci tu dobrze będzie, — powiedział pan Nowowiejski.

— A czy i za taki ogród trzeba płacić komorne? — zapytał Luś.

— To wszystko jest własnością babci.

— Babci! — powtórzył Luś z zachwytem w głosie. — Jak to dobrze mieć taki dom i taki ogród i mieszkać w mieście! Można

chodzić do szkoły, podczas pauzy strząsać z drzew jabłka i lekcje odrabiać w ogrodzie.

Zarumieniła mu się twarzyczka z radości i zachwytu...

— Jak to dobrze! — mówiły jego błyszczące oczy i z zachwytem witały babcię, która właśnie, ukończywszy swe gospodarskie czynności, wchodziła do pokoju.

Wraz z babcią wszedł do pokoju jej dobry, słodki uśmiech i, jak promień słońca, położył się na synu i wnuku.

Usiadła na fotelu pod lampą i patrzała na nich z miłością. Byli to jej najbliżsi i jedyni. Luś przytulił się do niej i jął jej ręce okrywać pocałunkami. Jeszcze przed paru godzinami zupełnie dla niego obca, teraz była mu najbliższą istotą ta biała babcia z ulicy Zielonej we Lwowie, a wraz z nią i ten daleki Lwów i cały ten nieznany mu dotąd szmat Polski z Wawelem na początku.

Więc, siedząc tak przytulony, zaczął opowiadać babci o Niemirowie, o dobrym dziaduniu, ciociach i dzieciach.

— Ten Tom i Bob, to jeszcze głuptasy, ale za to Mirutka to już się robi do cioci Kazi podobna — czasem nawet upina na głowie kok i nosi wysokie obcasy — mówił, odmierzając palcami wysokość jej obcasów.

Widać babci się najbardziej Tom z Bobem podobali, bo wnet jęła wypytywać, czy już chodzą, czy mówią i jak się bawią.

A Niemirów... O Niemirowie opowiedział Luś całą bajkę. Zaczął od jeziora w lesie i mówił o paprociach, które kwitną i o krasnoludkach, mieszkających pod korzeniami drzew.

Gdy to mówił, oczy mu się paliły i na policzkach wykwitły rumieńce.

— Mówią, że to bajka — dodał w końcu — ale ja nie wiem.

Ucałowała go babcia za to, że nie wiedział, czy to bajka, i pogładziła po głowie, a potem, wziąwszy za rękę, zaprowadziła do pokoju, w którym stały dwa łóżka. Jedno z nich było małe, jesionowe na krótkich kolistych nóżkach, drugie zaś jakieś ciemne i duże.

— To będzie twój pokój — rzekła — Tu we dnie jest słońce.

A potem wskazując mu mniejsze łóżeczko, dodała;

— Na tem łóżeczku, moje złotko, sypiał przed laty twój ojciec. Był wówczas w twoim wieku i chodził do szkoły, jak ty.

Luś rozglądał się po pokoju. Pod oknem stał jesionowy stół z szufladami, polerowany, jesionowy stół, który miał być jego biurkiem. Tuż przy łóżku podpierała ścianę niska i pękata komoda, w kącie zaś stała szafa z lustrem, zupełnie do reszty mebli niepodobna i niedopasowana. Prócz tego były tam jeszcze cztery krzesełka, wygodne, głębokie i nizkie, takie dla jego zwrostu, to jest ani dla dzieci, ani dla dorosłych.

Luś usiadł na każdem z nich, zajrzał do pustych szuflad biureczka, przejrzał się w lustrze i jął dziękować babci za wszyztko.

— Jakie to śliczne! — zawołał.

Wkrótce też pod tem wrażeniem zasnął w łóżeczku, na którem sypiał jego ojciec przed laty, — i słodko spał do rana.

Nazajutrz miał cały dzień wypełniony sprawą zapisania się do szkoły, kupowania podręczników, kajetów, ołówków i piór. Lubił niezmiernie te rzeczy drobne, ołówki żółte, obrazki zielone, piórniki polerowane, a nadewszystko książki, nowe, oprawne i nieoprawne, w których mieścił się cały rok nauki.

Kupując to wszystko, w myślach układał w szufladach stolika kajety i książki, a na stoliku ołówki i pióra. Cieszył się każdą rzeczą kupioną, każdym drobiazgiem nowym.

Dnia tego tylko przy obiedzie i wieczerzy widział się z babcią. Pokazał jej wszystkie swoje sprawunki i przekonał się, że babcia wcale się na ołówkach i kajetach nie zna.

— Cóż ty będziesz z tymi ołówkami robił? — pytała.

Dwa dni następne, przez które bawił pan Nowowiejski we Lwowie, spędził Luś na zwiedzaniu miasta, lekcje bowiem w szkole rozpoczynały się za tydzień.

Lwów oczarował Lusia... W słońcu cichej i pogodnej jesieni polskiej uśmiechał się do niego ten stary gród, jak biała babcia.

Po wielkomiejskich ulicach chodzili tam ludzie z małego miasteczka, ludzie, którzy się znali nawzajem i mówili do siebie akcentem zbliżonym do tego, jaki słyszał w Niemirowie. Wszyscy oni znali babcię i wiedzieli, gdzie mieszka.

— Na Zielonej... pani Nowowiejska... toż wiem, że na Zielonej — mówił posłaniec, któremu ojciec wręczył paczkę do odniesienia.

— Wiem... wiem... pani Nowowiejska — wołał subjekt w sklepie, a sklep był wytworny, a babcia mieszkała w innej zupełnie dzielnicy miasta.

Zwiedzając miasto, opowiadał pan Nowowiejski Lusiowi historję jego i różne podania. Mówił mu o onym rycerzu, którego szkielet z rozłupaną czaszką wraz ze szkieletem konia wykopano przed laty na placu Marjackim. Ale pan Nowowiejski nie znał historji Lwowa i bardzo mało mógł mu i o tym rycerzu i o wysokim Zamku opowiedzieć. Więc Luś sam dosnuwał sobie legendę tej

kresowej strażnicy Polski, tych ruin zamku, panujących nad miastem, otoczonych przepysznym ogrodem, i tego tam gdzieś na dole zakopanego rycerza. Tak samo przecie zginął królewicz pod szklaną górą, królewicz, którego opłakiwała królowa i po którym wszyscy chodzili w żałobie. A może to właśnie był szkielet owego królewicza?

Te myśli chodziły mu po głowie, kiedy wraz z ojcem wstępował do mrocznego wnętrza kościoła św. Jura.

— To grecko-katolicki kościół — powiedział ojciec.

Luś wiedział, że w kościele nie należy rozmawiać, więc dopiero po wyjściu z niego zapytał, kto się w tym kościele modli.

— Rusini — odpowiedział mu ojciec.

— Rusini — powtórzył za nim Luś.

Po powrocie do domu usiadł do pianinia i grał długo — grał historję królewicza z rozłupaną czaszką, wykopanego wraz ze szkieletem konia na placu Marjackim.

... Więc to było bardzo dawno, skoro na grobie królewicza stoją piękne gmachy i ludzie zdjęli już żałobę. A królewny dotąd nikt nie wyswobodził...

— Więc to było bardzo dawno... — myślał Luś, a bas pod jego małą rączką huczał:

— A królewny dotąd nikt nie wyswobodził... nikt!

Przerwała mu tę grę babcia — trzeba było siadać do wieczerzy i zaraz potem jechać z tatusiem na dworzec, bo właśnie dnia tego powracał pan Nowowiejski do Warszawy.

Przy wieczerzy babcia była uroczysta i smutna, a pan Nowowiejski zmęczony, mógł więc Luś zupełnie swobodnie snuć dalszy ciąg swej bajki o królewiczu.

To wszystko sprawiło, że żegnając się z ojcem na dworcu, nie płakał, a obietnicę przyjazdu do Warszawy na święta Bożego Narodzenia przyjął bez wielkiej radości.

Cieszyła się stara babcia, jadąc z nim z dworca do domu, sądziła bowiem, że się na dobre rozgościł we Lwowie. Uginały

się pod nią stare resory rozklekotanego wehikułu, trzęsły się oba podbródki, a wyraz zadowolenia nie schodził z jej dobrej twarzy.

Luś patrzył na nią z uwielbieniem i nabierał pewności, że dobrze mu będzie we Lwowie.

Jakoż zaraz następnego dnia przekonał się, że się nie mylił. Tylko w Niemirowie pod troskliwą opieką dziadunia było mu równie dobrze, jak tu w Lwowie.

To też, gdy babcia zapytana o dziadunia, powiedziała mu, że go nie zna, zdziwił się niezmiernie. Jak to mogło być, żeby się takie dwa białe gołębie nie znały ze sobą nawzajem? Dziadunio i babcia! A jednak tak było. Stary dziadunio już oddawna nie opuszczał Niemirowa, a biała babcia siedziała wciąż we Lwowie.

To zdziwienie swoje zaraz po powrocie z dworca do domu opowiedział Luś na pianinie tak dziwną melodją, że nawet babcia, której się tak, jak dziaduniowi w Niemirowie, podobało jego granie, powiedziała mu, że jest już późno i że trzeba się zabierać do spania.

Więc poszedł do swojego pokoju i zaczął robić porządek. Przesunął trochę bliżej do okna swoje łóżko, nakrył stół serwetą, powiesił w szafie swój warszawski mundurek, ten ze szkoły Konopczyńskiego, i w szufladkach poukładał bieliznę. Potem na stole postawił kałamarz, położył przy nim pióra i ołówki, zajrzał do szuflad, porozdzielał kajety i książki, a gdy tę pracę ukończył, z dna podróżnego kuferka wydobył swoją małą szabelkę blaszaną i papierowe czako ułańskie, amarantowe z Białym Orłem i ze srebrnymi sznurami.

Były to jego rzeczy najdroższe i najtroskliwiej przechowywane.

Teraz, wydobywszy je z kuferka, narazie nie wiedział, gdzie ma je ulokować, czy w szafie, czy na ścianie nad łóżkiem — i dopiero po chwili wahania powiesił je na ścianie.

Na to weszła do pokoju babcia.

— Toś ty żołnierz, moje złotko! — powiedziała, patrząc na błyszczącą szabelkę i amarantowe czako.

Luś wyprostował się po żołniersku.

— Tak jest, melduję posłusznie! — zawołał i rzucił się jej w objęcia.

A potem, kiedy babcia usiadła na krzesełku przy stole, mówił jej na ucho, szeptem:

— Ach, babciu, jakżebym chciał być żołnierzem! Choćby tylko ordynansem najmłodszego oficera w pułku, choćby tylko kuchcikiem przy kuchni polowej! Byle w wojsku polskiem, byle dla Polski.

Przeżegnała go babcia i ucałowała serdecznie, a musiał jej się ten wojskowy zapał Lusia podobać, bo, gdy dnia tego był na spacerze, zawiesiła nad jego łóżeczkiem tuż nad szabelką i czakiem mały portrecik Kościuszki w mahoniowej ramce i kolorową reprodukcję bitwy pod Grochowem.

Luś nie posiadał się z radości, ujrzawszy po powrocie ze spaceru te śliczne obrazki nad swojem łóżkiem. Przyglądał się im z rozpromienioną twarzą i skakał, klaszcząc w ręce, jak dziecko.

Na to weszła do pokoju babcia. Była, jak on, rozpromieniona i gdyby nie była tak starą, z pewnością skakałaby, klaszcząc w dłonie, jak Luś.

— Jakaś ty dobra! — zawołał Luś, ujrzawszy ją wchodzącą.

— A co? — powiedziała babcia, całując Lusia w czoło — konterfekt Kościuszki i bitwa pod Grochowem nad łóżkiem polskiego żołnierza... A co?

To mówiąc, broniła się przed Lusiem, który okrywał jej ręce pocałunkami.

Bo też naprawdę mało było na świecie istot tak dobrych, jak babcia. I dobroć jej była jakaś radosna i słodka i miała w sobie coś z uśmiechu niemowlęcia, coś z zapachu kwiatów i blasku promienia słonecznego. Ta dobroć jej sprawiała, że obcując z najmłodszymi, stawała się im równą, rozumiała ich radości i smutki weseliła się ich weselem.

Luś po wyjeździe pana Nowowiejskiego, obcując całymi dniami z babcią do rozpoczęcia lekcyj w szkole, pokochał ją gorąco i tkliwie

Była jego przełożoną, nauczycielem, kolegą i rówieśnikiem. Widząc jego zainteresowanie się Lwowem, opowiadała mu wszystko, co sama wiedziała o ulicach i placach, o klasztorach i świątyniach lwowskich. Luś słuchał tych opowieści i w bogatej swojej wyobraźni budował ten ciekawy gród łupiony przez hordy tatarskie, najeżdżany i rabowany przez mołojców siczowych, a zawsze polski i piękny.

Po każdej takiej rozmowie z babcią biegł na miasto, czy to na Wały Gubernatorskie, czy na Wysoki Zamek, czy gdzieś pod Cytadelę. Wszędzie szukał śladów ludzi i lat minionych już dawno, śladów zatartych nawałą obcych najezdców i tylko tu i ówdzie nieśmiało wyglądających z pod brudnych ścian austrjackich koszar.

Nieraz w tych wędrówkach po mieście opadały go jakieś myśli dziwne i niepokojące — zaczynał tracić poczucie rzeczywistości.

Słuchając opowiadań babci, myślał wciąż, że mu się ten cały Lwów tylko przyśnił i że go coś z tego snu za chwilę obudzi.

A tymczasem zbliżał się dzień, w którym miały się rozpocząć lekcje. W wigilję tego dnia błąkał się Luś po Wysokim Zamku, przyglądał się szczątkom murów, patyną wieków pokrytych, myślał, jak to wszystko wyglądało przed laty.

Na Wysokim Zamku było pełno słońca. Tu i owdzie na drzewach leżały już kolorowe pozłoty wczesnej jesieni, a cichy słoneczny ranek uśmiechał się do Lusia, jak babcia.

Był to ostatni jego wolny dzień.

A nazajutrz o ósmej rano znalazł się w szkole. Otoczył go gwar wesołych głosów, tupot nóg w przedsionku i na długich korytarzach, srebrne śmiechy, wybuchające co chwila w obszernych salach, nawoływania i ciche szepty po kątach.

— Druga klasa na piętrze — powiedział mu woźny, widząc, że nie wie, dokąd iść.

Poszedł więc we wskazanym przez woźnego kierunku i wkrótce znalazł się w obszernej sali, zastawionej ławkami.

Stanął nieśmiało pod ścianą i czekał, aż się koledzy usadowią na miejscach. Nie chciał wybierać pierwszy. A gdy tak stał pod

BIBLIOTEKA NARODOWA

ścianą w swoim warszawskim mundurku i z teczką pełną kajetów i książek w ręku, klasa zaczęła się zapełniać. Wchodzili jeden za drugim nowi koledzy, snuli się pomiędzy ławkami, wołali na siebie po imieniu i stawali grupkami pod oknem i przy katedrze.

Zrazu, zajęci sobą, nie zwrócili uwagi na Lusia i dopiero po chwili zaczęli go mierzyć oczami i wkrótce z grupki rozmawiających pod oknem podszedł do niego jakiś nizki i krępy chłopak o płowych włosach i okrągłej pucołowatej twarzy.

— Niech kolega sobie miejsce wybierze! — zawołał, podchodząc i podając Lusiowi rękę.

— Jestem Nowowiejski — powiedział Luś.

— A ja Niewczas.

Stali chwilę, milcząc. Luś przebiegł oczyma ławki, nie wiedząc, którą wybrać.

— Może usiądziemy razem — zaproponował nieśmiało.

— Wybornie! — zawołał Niewczas — usiądźmy razem.

Wybrali ławkę w drugim rzędzie pod oknem.

Zaledwie ułożyli swoje rzeczy w szufladach i sprawdzili, czy w kałamarzu jest atrament, otoczyli ich koledzy i jęli zasypywać Lusia tysiącem pytań. A więc zrazu zapytali go, skąd przyjeżdża i gdzie się dotąd uczył. Zdziwili się, że przybywa z Warszawy.

— Z Warszawy — powtarzali jeden drugiemu — Z Warszawy!

Nikt dotąd nie przyjeżdżał z Warszawy do Lwowa na naukę. Warszawa jest stolicą Polski, a Lwów to prowincja... Więc patrzyli na Lusia z szacunkiem i Niewczas był dumny, że ma takiego towarzysza przy sobie.

— On z Warszawy — mówił wchodzącym do klasy kolegom.

Więc przystawali koło nich i patrzyli na Lusia ciekawie. Wkrótce jednak rozbiegli się do swoich miejsc, bo do klasy wszedł profesor.

Był niski i cały żółty i zupełnie inny, niż profesorowie warszawscy. Gdy dowiedział się, że Luś przybywa z Warszawy, zaczął go pytać, dlaczego do Lwowa przyjechał i w jakiej szkole się uczył.

— Tu moja babcia mieszka — wyjąkał Luś zmieszany, bo respekt miał wielki dla profesorów i zwykle wobec nich zapominał języka w gębie — a w Warszawie uczyłem się w szkole Konopczyńskiego.

Pochwalił profesor szkołę, powiedział, że jest najlepsza w Warszawie. I Luś był dumny, że się uczył w najlepszej szkole. To też, gdy podczas lekcji Niewczas jął go zasypywać pytaniami, zrazu chciał mu powiedzieć, że w Warszawie w czasie lekcji rozmawiać nie wolno. Nie zrobił jednak tego i odpowiadał na jego pytania i słuchał jego opowiadań o sobie. Więc powiedział mu, że się nazywa Luś, że ma dziadunia, który mieszka w Niemirowie i że w Niemirowie jest stary las i piękne jezioro. I powiedział, że gdy się wojna zaczynała, był z mamusią w Niemczech i że powrót do kraju był pełny strachów i że w drodze umarła mu mamusia.

I nawzajem dowiedział się od towarzysza, że się nazywa Wojtek, że również nie ma matki i że ojciec jego jest gdzieś daleko w Ameryce i nawet nie pisze listów. I dowiedział się, ze Wojtek mieszka u stryja, który jest krawcem.

Zamyślił się Luś nad losem Wojtka i do końca lekcji przesiedział milczący. Ten Niewczas nie miał ani matki, ani ojca i mieszkał u stryja kątem. Nigdy nie wyjeżdżał do dziadunia na wieś i wogóle nigdy na wsi nie był. Wielka żałość schwyciła Lusia za serce i łzy stanęły mu w oczach. Pod wpływem tej żałości postanowił być dla niego bratem i opiekunem, Niewczas bowiem był o wiele od niego niższy wzrostem i wątlejszy. W ten sposób zawarli ze sobą znajomość i tak się zaprzyjaźnili, że gdy wychodzili po lekcjach ze szkoły, mówili do siebie po imieniu, a, rozstając się na ulicy Akademickiej, ucałowali się serdecznie.

— Po obiedzie wpadnę do ciebie — zawołał Wojtek.

— Ale napewno?

— Napewno. Pokażę ci park Kilińskiego i Szkołę Kadecką, przecie nie byłeś tam jeszcze.

Po rozstaniu długo oglądali się na siebie.

Podczas obiadu Luś — opowiedział babci o Wojtku i powiedział jej w końcu, że jest jego przyjacielem i że przyjdzie do niego po obiedzie.

— Takeście się zaprzyjaźnili odrazu? — zapytała babcia.

— A odrazu! — zawołał Luś.

Nie ganiła dobra babcia tej nagłej przyjaźni i powiedziała, że rada będzie poznać Wojtka i w końcu dodała, że cały dom i ogród oddaje do ich dyspozycji.

Luś podziękował babci i postanowił całe popołudniu spędzić z Wojtkiem w ogrodzie.

Jakoż, kiedy po obiedzie przyszedł Wojtek, jeszcze się nie zdążył dosyć nachwalić jego miłego pokoiku i biureczka i szabelki ułańskiej, a już go Luś prowadził do ogrodu pod rzędy drzew obciążonych dojrzałemi jabłkami, a babcia, idącym tak pod rękę, mówiła:

— A nie zapomnijcie tam, dzieci, o jabłkach. I pamiętajcie, że na trzeciem drzewku na lewo i drugiem na prawo — najsłodsze.

— Ach, ta babcia, jaka ona dobra! — myślał Luś, prowadząc Wojtka do ogrodu.

A babcia odprowadziła ich swoim słodkim uśmiechem aż do tego drzewka, na którem były jabłka najsłodsze i dopiero wówczas, gdy się przekonała, że się nie omylili, usiadła w swoim fotelu.

A w ogrodzie podówczas było przecudowne słońce. — To słońce siedziało na dojrzałych jabłkach i uśmiechało się do chłopców tak słodko, jak babcia przed chwilą. I kłaniały się im z małych klombów purpurowe gieorginje i liljowe i białe astry i zapraszało ich do małej altanki, która stała na końcu ogrodu pod murem, czerwone dzikie wino.

Więc nabrali pełne czapki tych najsłodszych jabłek, o których mówiła im babcia, i weszli do altanki.

— Opowiedz, jak tam u was jest w Warszawie — zagadnął Wojtek.

— W Warszawie — powtórzył za nim Luś i zaczął opowiadać

o Warszawie. Mówił o szkole, którą kochał bardzo, o profesorach, kolegach i w końcu o Niemcach. O Niemcach mówił po cichu, jakby się bał, że go ktoś może podsłuchać.

— Więc u was są Niemcy! — zdziwił się Wojtek.

— A jakże! Przed wojną byli Moskale, a teraz są Niemcy.

— A u nas Niemcy byli przed wojną, — zawołał Wojtek — a potem przyszli Moskale, a teraz są znowu Niemcy, ale stale są Rusini.

— Rusini! — zdziwił się z kolei Luś.

— Rusini są stale — powtórzył Wojtek.

— Więc i to są wrogowie?

— Jeszcze jacy! ho! ho!

Nieprzyjemnie zrobiło się Lusiowi, gdy się dowiedział o nowych wrogach, o których nic w domu nie słyszał... więc prócz Moskali i Niemców są jeszcze Rusini... Ale gdzie oni są? Po czem można poznać Rusina?

Nigdy nic nie słyszał o Rusinach, więc zadawał Wojtkowi pytania jedno po drugiem.

Wojtek tłumaczył mu, jak umiał.

— Tu — mówił — rządzą Austrjacy i oni są głównymi wrogami. Ci Austrjacy to są Niemcy z Wiednia. Ale prócz nich są jeszcze Rusini. I oni są również wrogami.

— Dlaczego? — zapytał go Luś.

— Bo oni nie chcą, żeby była Polska.

Luś zmarszczył groźnie brwi.

— Nie chcą, żeby była Polska... — powtórzył.

Nasrożył się cały, jakby stawał na straży czegoś w miejscu niebezpiecznem, i spochmurniał.

— Tak jest, oni tego nie chcą — powiedział Wojtek — i nawet mówią to wszędzie i piszą w swoich gazetach. A mieszkają we Lwowie tak jak my, nawet uczą się z nami w tych samych szkołach, nawet mówią tylko po polsku... i nie wiem dlaczego nazywają siebie Rusinami.

Oczy Lusia zaświeciły się gniewem.

— Więc skoro tak mówią, to kłamią! — zawołał porywczo.

Wszystko w nim się odrazu wzburzyło, nie znosił bowiem kłamstwa i kłamców.

— Pewnie, że kłamią... — zgodził się z nim Wojtek.

Zamyślili się obaj nad tem i siedzieli, milcząc.

Oburzenie Lusia zaczęło powoli topnieć, gdy pomyślał, że jednak ci Rusini nie rządzą krajem i wojska swego nie mają, więc, chcąc się w tem upewnić, zapytał.

— Ale wojska swego nie mają?

— Wojska nie mają... — odrzekł Wojtek.

To uspokoiło Lusia do reszty. Wróg bez wojska nie jest straszny. Wierzył tylko w wojsko, to też rozmowa ich wnet zeszła na ten temat.

— Nie wiesz ty ile tu jest wojska? — zapytał Luś.

Wojtek oczywiście nie mógł wiedzieć, ile we Lwowie jest wojska i nie umiał odpowiedzieć Lusiowi na to pytanie.

— A legjoniści czy są? — pytał w dalszym ciągu Luś.

— Legjoniści? To ty nie wiesz? — zdziwił się Wojtek — Przecie wszyscy legjoniści z Hallerem poszli na tamtą stronę walczyć z Austrjakami. I teraz są tu tylko chorzy, albo tacy, co to wiecznie siedzą na tyłach.

— A Rusini nie poszli na tamtą stronę?.

— Rusini!...

Wojtek z pogardą wzruszył ramionami i machnął ręką. — Jak można zadawać takie pytania!

— Ot, żeby było polskie wojsko... — westchnął — tobyśmy mogli do niego wstąpić. A choćby do tych, co poszli na tamtą stronę bić się za Polskę...

Chwilę siedzieli, milcząc.

— A tybyś wstąpił do wojska? — zapytał Luś.

Zaświeciły Wojtkowe oczy, jak dwie świeczki, i na twarzyczce wykwitły rumieńce. Wyprężył się po żołniersku i wprawnie bucikiem o bucik uderzył.

— Dlaczegóżbym nie miał wstąpić? — zawołał.

Podobała się Lusiowi ta gotowość Wojtka i jego zapał. Wnet pomyślał sobie, że Wojtek będzie jego towarzyszem, więc zaczął snuć plany na przyszłość.

— Teraz do wojska nasby nie przyjęli z powodu wieku. Może jednak przyjść taka chwila, że i my się przydamy na coś. Tylko na to czekam... A wówczas wnet się zapiszemy obaj. Czy dobrze?

— Dobrze.

— Słowo!

— Słowo!

Podali sobie ręce na znak, że się obaj zobowiązali do czegoś.

— My w Warszawie — mówił po chwili Luś — bawiliśmy się w szkole w wojsko. Byli oficerowie i żołnierze, były plutony i kompanje. I wszystko to było niby, a mogło być i naprawdę, bośmy się ćwiczyli, jak żołnierze, i zaprawiali powoli w wojennem rzemiośle.

Wojtek cały zamienił się w słuch.

— I robiliście manewry? — zapytał.

— Chodziliśmy do parku i za miasto, robiliśmy nawet dalsze wycieczki.

— To i tu trzeba będzie takie wojsko na wszelki wypadek uformować — zawołał Wojtek zachwycony.

— Ale bez Rusinów — zauważył Luś.

— Ma się rozumieć bez Rusinów.

— Niech sobie tworzą swoje oddziały, skoro nie są Polakami.

— Wówczas zobaczymy! — dodał Wojtek.

W słowach tych brzmiała już groźba pod adresem Rusinów.

— Zobaczymy! — zawołał Luś i skoczył z ławki, na której siedział i, jak żołnierz, stanął na baczność. Wnet to samo uczynił Wojtek i stanął obok niego.

Wówczas Luś zawołał:

— W prawo zwrot!

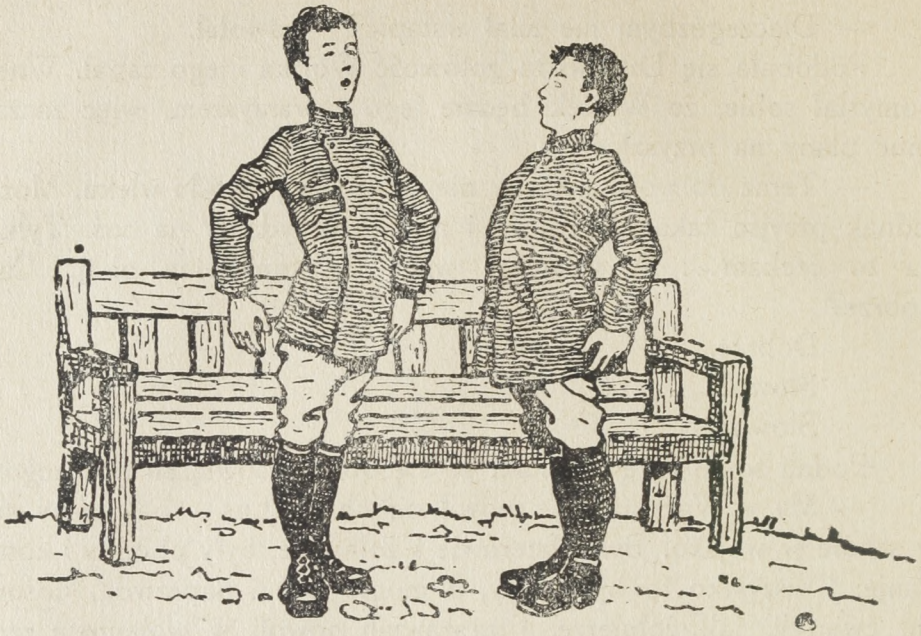

I obaj malcy poszli, jak żołnierze, pod obwisłe od ciężaru owoców gałęzie drzew, aż zatrzymała ich na zakręcie Marta, oświadczając, że podwieczorek już gotów.

Tak spełzł dnia tego na niczem projekt wycieczki do parku Kilińskiego i szkoły kadeckiej.

Na podwieczorek otrzymali malcy zsiadłe mleko z kartoflami i herbatę ze śmietanką.

Wojtek jadł dużo i łapczywie. Zdawało się, że jest głodny.

A podczas podwieczorku badawczo patrzyła mu babcia w oczy, wypytywała o stosunki rodzinne, o stryja, a, kiedy wieczorem wyszedł, powiedziała Lusiowi:

— Ten Niewczas może być twoim przyjacielem, tylko mu powiedz, żeby się mył staranniej. A już chciałam ci tę przyjaźń odradzić, bo myślałam, że jest Rusinem.

— Ależ babciu! — zawołał Luś — Wojtek miałby być Rusinem!

— A ty, co wiesz o Rusinach, moje złotko! zdziwiła się babcia — co ty wiesz, że tak zaprzeczasz gwałtownie?

— Że są naszymi wrogami! — zawołał Luś. — Że nie chcą, żeby tu była Polska.

— Wrogami! — zdziwiła się znowu babcia...

— Wrogami! — powtórzyła po chwili. — A któż ci to powiedział, że Rusini są naszymi wrogami?

— Wojtek.

Zamyśliła się babcia, nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nigdy Rusinów nie miała za wrogów Polski, wróg dla niej bowiem musiał mieć w sobie coś z rycerza... A Rusini? Nigdy nie mogła się nic rycerskiego dopatrzyć w Rusinach, niepochlebne wogóle też o nich wyobrażenie miała pani Nowowiejska... Gdzie oni są i kto oni są ci Rusini? Chłopi nieumiejący czytać i pisać... hajdamacy... zbóje...

Nie chciała jednak tego babcia powiedzieć Lusiowi, nie chciała mącić jego duszy jasnej i prostej, więc tylko zapytała:

— I cóż ci, moje złotko, Wojtek więcej mówił o Rusinach?

— A nic, proszę babci, mówił, że są wrogami.

— Za wrogów ich nie mam, ale i za przyjaciół również uważać ich nie mogę.

— I nam się też zdaje, — zawołał Luś — że oni nie są wrogami, bo co to za wróg, który nie ma wojska.

Uśmiechnęła się babcia na taki argument Lusia i pokiwała głową. Oczywiście co to za wróg, który nie ma wojska.

— Te małe bębny mają rację... — pomyślała.

Nazajutrz Luś zapoznał się w szkole ze wszystkimi kolegami. Przyglądał się im uważnie, oceniając po swojemu ich wartość bojową, postanowił bowiem, w myśl wczorajszej rozmowy swojej z Wojtkiem, uformować wojsko.

Koledzy byli dla niego wyjątkowo uprzejmi, jakby wyróżniali go z pomiędzy siebie, jako, że był gościem z Warszawy, z tej Warszawy dalekiej a kochanej, którą Lwów za stolicę Polski poczytywał.

Śród kolegów było trzech żydów i pięciu Rusinów. Żydzi, jak to zwykle żydzi, wyglądali inaczej, niż Polacy, ale zato Rusini niczem się od Polaków nie różnili. Mówili po polsku i gdyby nie to, że Wojtek wskazał mu ich, jako Rusinów, Luś napewnoby się tego sam nie domyślił. Jeden z nich nawet, mały Jur Hołoda, barczysty i tęgi chłopak o płowych, jak len włosach i chabrowych oczach, podobał mu się bardzo.

— To ty jesteś Rusin? — zapytał go Luś.

— I ja Rusin i ojciec mój Rusin — odpowiedział mały, bystro patrząc mu w oczy.

— A matka? — zapytał znów Luś.

— A matka moja Polka, lwowianka...

Dnia tego Luś, wywołany przez profesora do tablicy, z łatwością rozwiązał dość trudne zadanie i otrzymał dobry stopień, a podczas wielkiej pauzy na podwórku szkolnem uczył Wojtka i małego Jura Hołodę fechtunku.

— Po co ty go uczysz? — zapytał go potem na lekcji kaligrafji Wojtek — przecież to Rusin.

— Ja tylko tak, chciałem mu pokazać — tłómaczył się Luś.

— A jak się nauczy niepotrzebnie?

Rzeczywiście mały mógł się najniepotrzebniej w świecie nauczyć władać bronią. Luś czynił sobie wyrzuty, które drżały na brzuszkach liter w jego nowym kajecie.

Tak uszedł mu pierwszy dzień w szkole, dzień, który rozpoczął cały szereg następnych zupełnie do siebie podobnych.

Wstawał bardzo wcześnie, nieraz wyprzedzał nawet starą Martę, która zwykle przed podaniem pierwszego śniadania odmawiała długie pacierze w ciemnym kącie małej kuchenki, mył się w łazience, układał do teczki książki i kajety i dopiero wówczas zasiadał do pierwszego śniadania. Przed wyjściem do szkoły zaglądał do pokoju babci, żeby powiedzieć jej dzieńdobry. Babcia o tym czasie leżała zwykle w łóżku w białym czepku i w białym kaftaniku nocnym. Całowała go w czoło i pytała, czy nie zapo-

mniał wziąć jakiej książki ze sobą i czy i dla Wojtka zabrał ze sobą śniadanie.

Potem biegł Luś do szkoły, przekładając teczkę z jednej ręki do drugiej i wygwizdując jakieś przedziwne melodje.

W szkole podczas lekcji siedział, jak trusia, a wczasie pauz przewodził kolegom, płatał figle i budził ogólną wesołość. I nie zdawał sobie sprawy, skąd się w nim ta szalona uciecha bierze i ta radość, której nigdy dotąd nie doznawał w Warszawie, był bowiem sensatem z urodzenia.

Codziennie prawie po obiedzie przychodził doń Wojtek i babcia pozwalała im iść na spacer. Po powrocie ze spaceru odrabiał lekcje, a po podwieczorku grał na pianinie i kładł się spać. Jesień była słoneczna i ciepła. W parku Kilińskiego było pełno złota i czerwieni. Strzyżone szpalery drzew wyglądały w słońcu, jak wzorzyste kilimy zawieszone na ścianach. Ten park był ulubionem miejscem zabaw obu malców. Tu nieraz spotykali się z kolegami i urządzali manewry. Wówczas cały park rozbrzmiewał donośnym echem komendy i dudnił miarowym tupotem nóg.

— Baczność! Baczność! — wołały młode głosy.

— Równaj się!

— Marsz!

Pełno było przy tem wesela i śmiechu, pełno psot i figlów.

Nieprzyjaciel ukryty za wodotryskiem napróżno czekał na nieprzyjacielski oddział, który właśnie wówczas dojadał resztę irysów, siedząc wygodnie na ławce. Wówczas ukryty nieprzyjaciel wychodził z zasadzki i czynił gorzkie wyrzuty jedzącemu irysy nieprzyjacielskiemu oddziałowi, czem pobudzał go do śmiechu...

Luś, w szkole do figlów pochopny, nie lubił tych żartów w parku i zabawę w wojsko traktował na serjo.

— Albo robimy wojsko naprawdę, albo nie! — wołał zagniewany i wówczas chłopcy robili poważne miny i posłusznie ustawiali się w szeregi nanowo.

Zabawy te odbywały się w dnie pogodne, kiedy zaś nie można

było przewidzieć, jakie będzie popołudnie, Luś z Wojtkiem szli na miasto, oglądali pomniki, lub zwiedzali kościoły.

Na tych przechadzkach zrozumiał Luś, dlaczego we Lwowie jest Polska i że nieprawdą jest to, co mówią Rusini, że Lwów jest ich stolicą. Toż przecie nawet pod ich katedrę rusińską nie kto inny, jak Kazimierz Wielki król polski kładł ongi fundamenty. A któż budował te zamki, kto sypał te wały? A ile piersi polskich broniło Lwowa przed najazdem hord dzikich? A czyje kości leżą w mogiłach?

Te i tym podobne pytania chodziły mu po głowie po każdej przechadzce z Wojtkiem, na te pytania odpowiadał sobie, grając jakieś niesamowite melodje na pianinie, jakieś warjacje muzyczne do dziejów Polski i Lwowa.

A wszystko zaczynało się od Rusinów i kończyło się na Rusinach. W każdym spotkanym upatrywał Rusina. To też gdy pewnej niedzieli zaszła do babci mała Bazia Pannenkówna na wstępie zapytał ją, czy jest Rusinką.

— Ja miałabym być Rusinką? — zawołała Bazia i wydęła policzki. — Mój tatuś był oficerem pierwszej Brygady, a twój tatuś czy był oficerem polskim?

— Nie był — powiedział — Luś — ale u nas niema Rusinów.

Bazia coprawda nie zrozumiała tego argumentu, że jednak była z natury bardzo dobra, nie gniewała się na Lusia za posądzenie i tak się z nim odrazu zaprzyjaźniła, że potem nieraz brała udział w ich wycieczkach na miasto i do parku Kilińskiego, gdzie z zachwytem przyglądała się małym żołnierzom, a nieraz nawet zabierała głos w kwestjach decydujących, jako że była córką oficera polskiego i legjonisty.

A miała Bazia jasne warkocze i ciemne, jak smoła, oczy i była zupełnie podobna do królewny zaklętej na szklanej górze. Przynajmniej tak myślał Luś i grał jej na pianinie coraz dziwaczniejsze rzeczy i swojem graniem opowiadał jej przedziwną bajkę o Zatopionem królestwie. Właśnie w bajce tej jasnowłosa i czar-

nooka Bazia była ową zaklętą królewną, którą on wyzwalał. Siedziała w szklanym pałacu i śpiewała modlitwę do słońca.

Bazia lubiła patrzyć, jak Luś robi z siebie żołnierza, ale jeszcze bardziej lubiła słuchać jego grania. To też co niedziela przychodziła po południu do babci Nowowiejskiej i siedziała aż do zmroku.

Którejś jednak niedzieli, kiedy deszcz padał od rana i dął zimny wiatr północny, Bazia nie przyszła. Głowa ją bolała z wieczora i miała gorączkę.

Luś cały ranek wałęsał się z kąta w kąt, bo i Wojtek dnia tego nie przyszedł i babcia z racji wichury i deszczu nie pozwoliła mu wyjść na miasto, a po obiedzie opanowała go taka tęskność bezmierna, że usiadł do pianina.

Zrazu grał dla siebie, a potem zaczął grać dla Bazi.

Postanowił do niej dojść aż na szklaną górę. Fujarkę czarodziejską wykręcił z wierzbiny i poszedł... Wiatr zimny wiał w oczy i deszcz lał, jak z cebra. Wszystkie dźwięki rozpłynęły się w szarości jesiennego dnia i jakby przycichły.

I nagle ujrzał Bazię w szklanym pałacu, na szklanej górze.

II

Kolorowa i złocista była jesień w tym roku. Wszystkie parki i ogrody mieniły się w słońcu złotem i czerwienią. Dopiero w połowie października zaczęły padać deszcze i na kolorowem złocie drzew osiadły ciemne plamy rdzy i tak przeżarły liście, że wszystkie osypały się na ziemię. A wówczas rozpanoszyły się słoty nieznośne i szarugi, mokrym chłodem do szpiku kości przejmujące, tak że nie mogło już być mowy nietylko o zabawach w parku, lecz nawet i o spacerach po mieście. Luś też spędzał popołudnia w domu nad książką, bo nawet Wojtek wpadał do niego coraz rzadziej, a Bazia już od dwóch tygodni nie pokazywała się wcale.

Zyskały bardzo na tem osamotnieniu listy, które pisywał do ojca, a które wysyłać można było tylko przez okazję, korespondencja bowiem z Warszawą była podówczas niezmiernie utrudniona. Dotąd wszystkie jego listy były pisane dorywczo, na kolanie i miały charakter krótkich i suchych sprawozdań, teraz zaś, gdy po południu trzeba było siedzieć w domu, zaczął Luś pisywać listy dłuższe, pełne wynurzeń i pytań.

W jednym z nich zwierzył się przed ojcem ze swoich wątpliwości co do Rusinów.

„Tu są Rusini, proszę Tatusia, i wszyscy utrzymują, że ci Rusini są naszymi wrogami“ — pisał — „ci Rusini mówią po polsku i uczą się nawet w naszych szkołach i nie mają swego wojska, więc chyba nie są oni wrogami niebezpiecznymi. Niech mi Tatuś koniecznie co o Rusinach napisze, żebym już wiedział napewno...“

Na to otrzymał od ojca list, w którym między innemi o Rusinach było takie zdanie:

... „Co do Rusinów, masz zupełną rację, — nie są oni niebezpiecznymi wrogami, nie mają bowiem państwa, ani wojska tak samo, jak my, a przytem nie mają tej wielkiej wiekowej kultury, którą my mamy...“

Jakże jednak prędko przekonał się Luś, że się wraz z ojcem mylił.

A stało się to pewnego dnia zupełnie niespodziewanie i nikt nie przewidywał, że się to stanie.

Dnia tego Luś spał nieco dłużej, był to bowiem dzień Wszystkich Świętych i nie trzeba było iść do szkoły. Nie zdążył się jeszcze ubrać, gdy do pokoju wpadła Marta z krzykiem:

— A pan major nic nie wie!

„Panem majorem“ nazywała Marta Lusia, odkąd widziała jego żołnierskie ćwiczenia z Wojtkiem w ogrodzie.

— A co? Co się stało? — zapytał zaniepokojony.

Marta zrobiła tajemniczą minę.

— Zaspał pan major. A co!

— Zaspałem, ale co się stało?

— Jezu Nazareński! Toż straszno nawet pomyśleć, co się stało... — wołała, ocierając łzy brudnym fartuchem.

— Niechże Marta powie, — nalegał Luś.

— Pan major spał, a Rusini opanowali całe miasto.

— Jakto opanowali? — z przerażeniem zawołał Luś.

— Ta opanowali... opanowali... Po ulicach chodzą... strzelają... chorągwie noszą swoje i pieśni śpiewają... Ot, tak i opanowali.

— Co Marta mówi?

— Taż widziałam.

Jeszcze stała chwilę, jakby zdumiona tem, co sama zakomunikowała, potem westchnęła głośno i wyszeptała:

— Jezu Nazareński!

I wysunęła się z pokoju.

Luś, jak bomba, wpadł do pokoju babci.

— Co się dzieje, babciu? — zawołał od proga.

Nie uśmiechnęła się do niego babcia, nie pogłaskała go po głowie. Była wzburzona i wzruszona. Siedziała na krzesełku pod oknem w białym kaftaniku i czepku.

— Wola boska, moje złotko! — westchnęła.

— Ja wiem, babciu, ale czy... czy to...? — zaczął Luś i nie mógł dalej mówić. Łzy nie chciały mu się trzymać w oczach i zalały głos w gardle. Nigdy przedtem takiej babci nie widział.

A babcia, zamiast mu odpowiedzieć, przytuliła go do piersi i pocałowała.

— Dopust boski, nic więcej — wyszeptała wzruszona.

Dłużej niż zwykle dnia tego ubierała się babcia i Luś musiał czekać całą godzinę na pierwsze śniadanie. A spieszno mu było, bo chciał się czemprędzej wymknąć na miasto, więc przystawał co chwila nasłuchując pod drzwiami babci.

Wreszcie ukazała się na progu, ale jakże się zmartwił Luś, gdy mu oświadczyła, że wolałaby, żeby pozostał w domu. Bóg raczy wiedzieć, co się może zdarzyć. I jeszcze powiedziała babcia, że o nieszczęście zawsze łatwo i że nie trzeba wywoływać wilka z lasu.

Nie smakowało Lusiowi śniadanie, bo jedząc połykał łzy, a łzy były gorzkie od zmartwienia, nie prosił jednak babcię o zmianę decyzji, bo i jemu się wydawało, że na ulicy jest niebezpiecznie i że babcia ma rację, a wiedział, że tylko swoje niebezpieczeństwo można lekceważyć. Więc umówił się z babcią, że wyjdzie do ogrodu i że tylko chwilkę postoi przed domem na ulicy, a jeśli będzie chodził, to tylko od latarni do latarni — nie dalej.

Nie trzeba było długo przekonywać babci — przed domem nic się Lusiowi nie stanie, byleby się ciepło ubrał.

Więc Luś ubrał się ciepło i wyszedł.

W ogrodzie było mokro i nieprzyjemnie. Słodka jabłoń wyglądała tak, jakby się na niej same kwaśne jabłka rodziły. A ulica osychała z deszczu, który padał w nocy, bo środkiem jej toczył się przejmujący wiatr i wypijał wszystkie kropelki nocnego deszczu — i świstał w latarniach nieprzyjemnie.

Poza tem jednak spokój i cisza panowały dokoła, nic nie mówiło o przewrocie politycznym, który się stał w mieście.

Chyba się Marcie coś przywidziało, albo ktoś zażartował z niej w sklepiku.

Luś chodził od latarni do latarni i tak manewrował, żeby go babcia z okna mogła widzieć. Pocieszał się myślą, że lada chwila nadejdzie Wojtek i wszystko się wyjaśni. Dzień przed tem umówili się, że pójdą razem na cmentarz Łyczakowski i że potem Wojtek pozostanie u niego na obiedzie. Nawet babcia wspominała coś o jakiejś specjalnej dla nich leguminie, mówiła coś o malinach z Niemirowa, które tatuś jej przywiózł, a konkurować z malinami niemirowskiemi mogły chyba tylko niebieskie migdały, które się pewnego razu Lusiowi przyśniły.

Tak myślał Luś, chodząc od latarni do latarni, i pocieszał siebie, że babcia, widząc, że Wojtkowi nic się nie stało, pozwoli i jemu wyjść na miasto. A może i Wojtkowi każą siedzieć w domu? Kto wie, co się tam dzieje na mieście?

Dołem, gdzieś nisko nad dachami domów wałęsały się siwe mgły, czy dymy. Luś zaczął myśleć, że to dymy i że to pali się Lwów, gdy nagle ujrzał w pustej ulicy biegnącego w jego stronę Wojtka.

— Wojtek! — krzyknął uradowany i poskoczył ku niemu.

Wojtek wymachiwał zdjętą z głowy czapką i biegł jak szalony. Był czerwony, jak burak, i nie mógł złapać tchu.

— Rusini... wiesz... Rusini... — wołał nie swoim głosem.

— Ale co Rusini?

— Jakto co? Nie wiesz?

Luś wiedział, ale chciał usłyszeć coś pewnego. Marta mogła przesadzać, bo jak można opanować całe miasto, nie mając wojska?

— Więc ty nie wiesz, — wołał zadyszany Wojtek — że Rusini objęli rządy we Lwowie. Zajęli ratusz i koszary i że odrazu mają własne wojsko?

— Ale skąd? — zapytał Luś.

— Czy ja wiem skąd wzięli wojsko. Sam widziałem koło ratusza ich wojsko.

Stali na przejmującym chłodem wietrze wzburzeni i podnieceni. Ta ruska przemoc wyprowadziła ich z równowagi.

— A ty mówiłeś, że oni nie mają wojska, — zagadnął Luś.

— Mówiłem...

— A widzisz, że mają.

— Widzę. Widocznie uformowali w ostatniej chwili.

— To pewnie i Jur wstąpił do wojska.

Toczący się środkiem ulicy wiatr przyniósł echo dalekiego strzału.

— Słyszysz? — zapytał Luś.

— Strzelają — odparł Wojtek. — Koło nas od rana strzelali.

— I co?

— Było słychać. Chodź, pójdziemy na miasto.

— Babcia nie pozwoliła — ze smutkiem w głosie powiedział Luś.

— To uprosimy babcię. Chodź!

— Tylko nie mów, że strzelają.

— Nie, nie powiem! — zawołał Wojtek i pociągnął namyślającego się jeszcze Lusia za rękę do domu.

Babcia była trochę spokojniejsza, niż zrana. Siedziała w pokoju jadalnym z ostatnim numerem „Kurjera Lwowskiego“ w ręku. Na nosie miała duże okulary i czarny koronkowy czepek na głowie.

— Wojtek przyszedł — zawołał od progu Luś.

— I cóż, nie bałeś się! — zapytała babcia.

Siwe jej oczy wyjrzały z poza okularów i spoczęły na Wojtku.

— Nie bałem się... — odpowiedział Wojtek — Na ulicach spokojnie i dużo ludzi.

Musiał opowiedzieć pani Nowowiejskiej wszystko, co widział na mieście, tylko o strzelaninie zamilczał. A gdy skończył swoje opowiadanie, wtrącił nieśmiało:

— Chcieliśmy właśnie prosić, żeby nam pani pozwoliła trochę pochodzić po mieście.

— Babciu, troszeczkę, — dodał Luś.

— Niedaleko — z kolei dodał Wojtek.

Babcia się namyśliła.

— Chyba was poszlę do pana Niewczasa — powiedziała po chwili — chciałabym bowiem, żeby Wojtek na ten czas niespokojny zamieszkał z tobą, moje złotko. Stąd i do szkoły bliżej i raźniej wam będzie lekcje po południu razem odrabiać. A jeśli teraz z racji tych awantur przerwa w naukach wyniknie, nie będziecie potrzebowali szukać się nawzajem. Co, moje złotko?

Uszczęśliwieni chłopcy zaczęli z radości, jak wróble, skakać koło krzesła babci, a potem przypadli do jej rąk.

— Jakaś ty dobra! Jakaś ty dobra! — powtarzał Luś.

— Dziękujemy pani — wołał Wojtek.

— A dajcież mi pióro i atrament — zawołała babcia — muszę przecie do pana Niewczasa napisać, gotów wam nie uwierzyć na słowo i myśleć, że się wybieracie do wojska.

Pióro i atrament i piękny biały sekretnik momentalnie znalazły się na stole przed babcią — jakoś i list wkrótce był gotów.

— A patrzcie, żebyście mi na pierwszą byli w domu — powiedziała babcia, wręczając list Lusiowi.

Zegar ścienny w pokoju jadalnym wskazywał dwunastą, kiedy malcy wychodzili z domu.

— Ciekaw jestem, czy Jur jest w wojsku — powiedział Luś, kiedy się znaleźli na ulicy.

— Już wczoraj nie było go w szkole.

— To prawda.

Szli dalej, milcząc i nadsłuchując.

Ludno było na Pańskiej, a jeszcze ludniej na Akademickiej. Ludzie snuli się po chodnikach jacyś podnieceni i zdenerwowani. Jedni nasłuchiwali tak, jak i oni, drudzy mówili coś do siebie gwałtownie i prędko.

Pierwszych Rusinów ujrzeli na placu Marjackim. Był to oddziałek złożony z dwunastu ludzi. Mieli na głowach austrjackie czapki wojskowe i austrjackie karabiny na ramionach. A przed nimi szedł chłopaczek lat dziesięciu w takiej samej austrjackiej czapce i niósł błękitno-żółty sztandar.

— Patrz, wojsko — wyszeptał Wojtek.

— Co mi to za wojsko! — zawołał Luś.

— Dlaczego?

— Patrz, jak idą. Raz, dwa... raz... ot już i nie można dalej. To wcale nie jest wojsko. My w Warszawie bawiliśmy się w wojsko i lepiej umiemy chodzić. Raz... dwa... raz... dwa...

Ale ruscy żołnierze byli pijani i szli nierówno, tak że i Wojtek wkrótce zaczął patrzyć na nich z pogardą.

— Chodź, pójdziemy w nogę — zaproponował Luś.

Wojtek stanął przy nim i poszli równym, miarowym krokiem, jak żołnierze.

— Raz... dwa... raz... dwa...

Skręcili w ulicę Kopernika, gdzie koło pałacu Potockich pan Niewczas miał swój zakład krawiecki.

Szczęście im dnia tego widocznie sprzyjało, bo pomimo nadzwyczajnych wydarzeń, jakie się działy na mieście, zastali go w domu. Chodził dużemi krokami po pokoju, który był zarazem i poczekalnią i warsztatem. Był to stary i jakby spłowiały człowiek. Głowę miał pochyloną naprzód i wargę dolną obwisłą.

Ujrzawszy ich wchodzących, pan Niewczas, jakby się trochę ożywił i patrząc z podełba na Wojtka, zapytał:

— A nie znalazłeś tam gdzie na mieście guza?

— Ho! ho! jakiego guza? — zawołał wesoło Wojtek i podał mu list pani Nowowiejskiej.

Przeczytał pan Niewczas list i z pod krzaczastych brwi uważnie spojrzał na Lusia.

— Więc chcesz mi go zabrać? — zapytał.

— Babcia moja o to pana prosi.

— Aha! więc to właściwie babci twojej jest potrzebny mój Wojtek? Więc cóż? Nie mam nic przeciwko temu i bardzo dziękuję.

To rzekłszy zwrócił się do Wojtka:

— A ty, smarkaczu, bądź grzeczny. Słyszysz? Nie zrób mi wstydu.

— Słyszę, proszę stryja! — zawołał Wojtek.

— A no, po ulicach się nie szwendaj, w domu siedź i ucz się, a panią Nowowiejską słuchaj. A no...

Gdy to mówił trzęsła mu się głowa i dolna warga i cały tułów kiwał się z tyłu naprzód.

Wojtek tymczasem zginął na chwilę w następnym pokoju, z którego wyjrzała głowa pani Niewczasowej.

Trwało to wszystko parę sekund zaledwie i po chwili Luś z Wojtkiem, trzymającym w ręku malutkie zawiniątko, znaleźli się znowu na ulicy. A ledwie wyszli, dobiegł ich huk strzałów od strony ulicy Karola Ludwika.

— Słyszałeś? — zapytał Wojtek.

Luś kiwnął głową i szedł wolno naprzód.

— Nic się nam nie stanie — powiedział.

— Ja wiem, że nic, ale strzelają.

— Strzelają...

Szli pod ścianami domów i co chwila spotykali ludzi idących śpiesznie, jakby w popłochu.

— Idź za mną! — zakomenderował Luś.

I Wojtek posłusznie przylgnął do ściany jakiejś odrapanej kamienicy.

Właśnie zbliżali się do ulicy Karola Ludwika, gdy z placu

Marjackiego padła salwa. Środkiem ulicy toczył się samochód ciężarowy napełniony żołnierzami, którzy strzelali w górę na wiwat i do okien wyższych piętr.

A mieli z tego strzelania wielką uciechę, bo co chwila wykrzykiwali:

— Hu! ha!

I zaraz potem padała nowa salwa.

W Lusiu, gdy to ujrzał, zawrzała głucha złość. Stał z zaciśniętemi pięściami, jakby gotując się do skoku. Obudziły się w nim jakieś niewyraźne, już niemal całkowicie w pamięci zatarte, wspomnienia z przed pięciu laty.

Widział już gdzieś takich pijanych żołnierzy bezmyślnie strzelających na wiwat. Widział blade twarze ludzi uciekających w popłochu... Ale gdzie to było? Gdzie?

Ach, to byli Moskale...

A posępny dzień listopadowy ciężką płachtą szarych chmur wisiał nad tym ciężarowym samochodem pełnym pijanych mołojców udekorowanych niebiesko-żółtemi flagami.

Jakaś groza bezmyślna i głupia wiała od tych strzałów, krzyków i ciężkiego turkotu kół.

Luś stał, jak zahypnotyzowany, — i nie czuł, że Wojtek ciągnie go za rękaw.

— Patrz, Wojtek — mówił — to Moskale!

— Skąd wiesz? — zapytał go Wojtek.

— Wyglądają, jak Moskale, i strzelają bez sensu.

— Nie, to Rusini! Napewno Rusini! — wołał Wojtek i ciągnął go za rękę.

Samochód tymczasem przetoczył się koło nich i zginął w ulicy Jagiellońskiej.

Malcy ruszyli w przeciwną stronę. Szli z wypiekami na twarzy, podnieceni i wzburzeni. Nie zdawali sobie sprawy, co było przyczyną ich wzburzenia, czuli jednak obaj, że tak dłużej być nie powinno, i że to się musi wreszcie skończyć.

Luś zaczął myśleć, że się zbliża godzina jego bohaterstwa i czuł, że musi coś przedsięwziąć, coś uczynić.

Wówczas przyszła mu na myśl Bazia. Jakby to dobrze było, gdyby przyszła po obiedzie!

A gdy tak myślał, zatrząsł miastem wybuch, gdzieś na placu Bernardyńskiem, czy bliżej.

— Głupi oni są! — zawołał z oburzeniem — Po co strzelają? Na co?

— A tak, po co? — powtórzył za nim Wojtek.

— Myślą, że się ich przelękniemy.

— Pewnie tak myślą... — zgodził się Wojtek.

— Ale nic z tego! — niemal męskim głosem zawołał Luś.

Przyspieszyli kroku i szli, milcząc.

Babcia czekała na nich przed domem. Stała w ciepłej salopie z futrzanym kołnierzem i w czarnej kaszmirowej chustce na głowie. Bardzo się zdziwili, ujrzawszy ją na ulicy, wiedzieli bowiem, że w dni słotne i pochmurne nie zwykła była opuszczać mieszkania. Wkrótce jednak dowiedzieli się, że wygnał ją z domu niepokój o nich. Myślała, że im się coś stało i nie mogła usiedzieć w domu.

Zmartwiło to niepomiernie Lusia. Jakże tu iść do szeregów, skoro krótki ich spacer tak babcię zdenerwował?

— Jeszcze niema pierwszej — tłumaczył się Wojtek, podbiegając do pani Nowowiejskiej.

— Wiem... wiem... Ale chodźcie już do domu... — mówiła pani Nowowiejska, biorąc go pod brodę — bo w tym ruskim Lwowie może się wam co złego przytrafić.

Malcy nie nalegali... Nie było na co patrzyć na mieście, a mieli już dosyć tych Rusinów i tych sztandarów niebiesko-żółtych, i tej głupiej strzelaniny. Woleli zająć się ulokowaniem Wojtka w pokoju Lusia. Ustawili drugie łóżko pod ścianą i drugi stolik pod oknem.

Tak zeszedł im bardzo prędko czas do obiadu.

A przy obiedzie gorączkowo i chaotycznie opowiadali pani

Nowowiejskiej o tem, co widzieli na mieście, o Rusinach, a samochodzie ciężarowym i o bezładnej strzelaninie.

Gdy do tego miejsca doszli, przeżegnała się babcia nabożnie i szepnęła cichutko:

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas, Panie!

A gdy Luś powiedział, że Rusini są głupi, bo strzelają bez sensu, powiedziała mu:

— Nie tylko głupi oni są, moje złotko!

Po obiedzie zaczął padać deszcz i nie mogło być nawet mowy o spacerze, a tem bardziej nie można było oczekiwać wizyty Bazi, siedzieli więc malcy w swoim pokoju bez żadnych wiadomości z miasta, bo i stara Marta, której stale dokuczał reumatyzm, nie chciała na taką słotę wychodzić z domu.

A gdy się na dworze zaczęło robić szaro i Wojtek zajął się odrabianiem lekcyj na dzień następny, wymknął się Luś do pokoju bawialnego i usiadł do pianina.

Bardzo dobrze, że babcia wówczas w kuchni rozmawiała z Martą i nie słuchała jego muzyki, bo i ona nawet nie mogłaby jej pochwalić.

Porwały mu się melodje i poplątały. Toczył się ciężki, ciężarowy samochód i groźne wybuchy wstrząsały co chwila miastem. A on nie wiedział, czy to jest chwila, kiedy właśnie ma się zacząć jego bohaterstwo.

Więc grał i grał...

I byłby tak grał do późnego wieczora, gdyby nie to, że przyszli do babci jej zwykli niedzielni goście na kawę: pan Dymek, pan Zadora i pan Szmit, przyszli i przynieśli ostatnie nowiny z miasta.

Byli to starzy przyjaciele babci, którzy uważali za święty obowiązek odwiedzać ją co niedziela. Zwykle pierwszy zjawiał się pan Dymek prawdopodobnie najstarszy z nich, bo niedowidział już i niedosłyszał. Nieraz zamiast filiżanki z kawą brał cukiernicę i stawiał przed sobą, nieraz zagadnięty o politykę odpowiadał

że dotąd leży w łóżku i przyjść do siebie nie może, myślał bowiem, że jest mowa o jego chorej żonie.

Po panu Dymku zjawiał się pan Zadora. Pan Zadora był doktorem filozofji, mało mówił i nigdy o nic nie pytał. Lata, które przeżył, nie zostawiły śladu na jego twarzy i całej postaci, bo, z wyglądu sądząc, tak samo można mu było dać trzydzieści, jak i sześćdziesiąt.

Ale napewno najmłodszym z nich musiał być pan Szmit, bo czernił wąsy i przy każdej nadarzonej sposobności przeglądał się w lustrze. I wiedział pan Szmit wszystko najlepiej i najdokładniej i na kawę do babci zwykle przychodził ostatni.

Dziś jednak wszyscy trzej przyszli razem, usiedli w saloniku na fotelach i kanapie i nuż opowiadać jeden przez drugiego o wydarzeniach dnia. Nawet pan Dymek odezwał się kilka razy, nawet pan Zadora o coś pana Szmita zapytał, a pan Szmit, jak zwykle, mówił najwięcej.

— Jakże się to wszystko państwu podoba? — zapytał już na wstępie, chociaż musiał przecie wiedzieć, że to, co się stało, nikomu z obecnych nie mogło się podobać.

Pan Dymek siedział z ręką przy uchu.

— Niesłychane rzeczy! — powiedział prawie szeptem.

— Niesłychane rzeczy! — powtórzył za nim głośniej pan Zadora.

A babcia wzruszyła tylko ramionami. Oczywiście były to niesłychane rzeczy.

— Istny pierog z kapustą... — wyszeptał pan Dymek.

Pan Zadora, który widocznie pierogi z kapustą lubił, chciał zaprotestować, bo wstał i chciał coś mówić, widocznie jednak rozmyślił się, bo znowu usiadł.

A tymczasem pan Szmit zabrał głos:

— Żarty na stronę, moi państwo! Stała się rzecz ohydna.

Dalszego przemówienia pana Szmita Luś nie słyszał, bo Wojtek szepnął mu na ucho, że od Bazi przyszła służąca z listem. Luś porwał list i pobiegł do swego pokoju.

Bazia pisała dużemi literami na papierze polinjowanym we dwie linje, że jest zdrowa, ale nie wychodzi, bo we Lwowie jest wojna i prosiła, żeby Luś wstąpił do niej jutro.

Luś usiadł i odpisał w jedną linję, że mieszka u niego Wojtek i że razem z nim postara się przyjść nazajutrz do niej.

Wszystko to zabrało mu tyle czasu, że wsunął się do saloniku dopiero wówczas, kiedy pan Szmit kończył swoje przemówienie. Właśnie mówił:

— Oni nas chcą sprowokować, moi państwo... oni nas już sprowokowali... Już dziś rano jakieś głowy zapalone rozpoczęły w stronie szkoły Sienkiewicza wojnę z hajdamakami... Są już, moi państwo, ofiary w ludziach.

— Hę! Co pan powiadasz? — zapytał pan Dymek.

— Powiadam, że są ofiary w ludziach — krzyknął mu do ucha pan Szmit. — Lekkomyślność graniczącą z opętaniem. Kto ich do tego upoważnił... Nieprawdaż?

Umilkł i czekał potwierdzenia.

Gdy pan Szmit mówił o rozpoczętej obronie Lwowa, zaświeciły oczy Lusiowe, jak u kota, a gdy mówił, że to lekkomyślność, pięści mu się zacisnęły kurczowo.

I zrozumiał wówczas Luś, że właśnie nastał czas jego bohaterstwa, tego czynu, który każdy polak spełnić musi, i że pan Szmit kłamie, więc nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zawołał:

— Nieprawda!

Wszystkie białe głowy podniosły się naraz, wszystkie wyblakłe i zmęczone oczy zatrzymały się na nim.

— Hę! Co powiada? — zapytał pan Dymek.

— Powiada, że nieprawda — krzyknął mu do ucha pan Szmit.

W saloniku babci zapanowało wielkie zamieszanie.

A Luś chciał mówić i nie mógł. Duże łzy nabiegły mu do oczu i przesłoniły wszystko. Nawet lampa elektryczna pod sufitem paliła się ciemniej. Więc uciekł do swojego pokoju i rozpłakał się na dobre.

Za nim podążył Wojtek i przyszła babcia.

Nie robiła mu wymówek, że się zachował niegrzecznie, lecz przycisnęła jego płową główkę do piersi i na czole jego złożyła gorący pocałunek.

— Moje ty złotko... — wyszeptała.

A widząc, że się nie może uspokoić dodała:

— Masz rację, że to nieprawda.

Długo jeszcze nie mógł Luś uspokoić się i przyjść do siebie. Siedział w ciemnym kąciku i myślał co począć, jak iść na ratunek Lwowa. Aż wreszcie ogarnęła go senność, której nie mógł już przezwyciężyć.

Czarna noc jeszcze stała za oknem, kiedy się obudził, czarna noc zaglądała przez mokre i zapotniałe szyby do wnętrza pokoju, i uśmiechała się słodko do tych mroków najgrubszych, które zwykle siedzą w kątach najciemniejszych.

— Robaczki moje kochane! — mówiła do nich, myśląc, że Luś śpi i nic nie słyszy.

Ale Luś nic nie słyszał, choć nie spał, bo był pod wrażeniem wczorajszych wydarzeń i leżał z rozwartemi oczyma, wpatrzony w rzeczy wielkie, które miały się stać za chwilę.

— Co robić? Jak zacząć? — myślał.

A w pokoju słychać było miarowy oddech Wojtka i ten dziwny szmer, który się zawsze słyszy w nocy, a który jest tylko własnej krwi tętnem.

— Trzeba zacząć... — myślał Luś — zaraz... za chwilę...

— Wojtek! Wojtek! — zawołał głosem zachrypniętym od snu, jakby nieswoim.

Wojtek poruszył się na łóżku i podniósł głowę.

— To ty Luś? — zapytał.

— Ja — odrzekł Luś. — Chciałem ci coś powiedzieć.

— Co? — zapytał Wojtek przeciągając się na posłaniu pełnem słodkich snów i uśmiechów.

— Ale słuchaj, Wojtek. — zaciął Luś — To jest bardzo ważna rzecz i to trzeba obmyślić...

— Kiedy nie wiem co! — zawołał Wojtek obudzony zupełnie.

— Jakto nie wiesz? To posłuchaj...

Usiadł na łóżku, ale nie wiedział, jak zacząć. Był tak wzruszony, że nie mógł odrazu myśli swoich przyoblec w słowa. Zdarzało mu się nieraz na lekcji i wówczas zwykle otrzymywał zły stopień, chociaż lekcję umiał wybornie.

Teraz chciał Wojtka wtajemniczyć w swoje zamiary, chciał opowiedzieć w kilku słowach, co zamierza zrobić i dopiero po chwili wykrztusił:

— Trzeba wstąpić do wojska.

Wojtek również usiadł na posłaniu.

— Do wojska? — powtórzył. — Ale jak?

To było rzeczą najtrudniejszą i o tem Luś nie myślał wcale, że wszakże Polacy byli z tamtej strony frontu i że we Lwowie można było wstąpić tylko do wojska ruskiego.

— Trzeba się przedrzeć... — powiedział.

— Przedrzeć się — powtórzył za nim Wojtek raptem.

— Jak Skrzetuski ze Zbaraża...

Siedzieli w wielkim mroku długiej jesiennej nocy wobec pytania, które przerastało ich siły.

Pierwszy przerwał milczenie Luś:

— To będzie bardzo trudno, ale to trzeba będzie zrobić. Wszyscy Polacy powinni wstąpić do wojska — i ja wstąpię.

— I ja! — zawołał Wojtek.

— Pamiętaj, coś powiedział.

— Pamiętam.

Wówczas ukląkł Luś na łóżku, ręce, jak do pacierza, złożył i wyszeptał:

— Tak nam Panie Boże dopomóż!

A czarna noc, która stała za oknem i przez zapotniałe szyby zaglądała do wnętrza pokoju, powiedziała:

— Amen!

A powiedziała to tak cicho, że i Luś i Wojtek, którym oczy zaczęły się sklejać do snu, nic nie słyszeli.

Wkrótce też zasnęli obaj, a wówczas noc z za okna weszła do pokoju i położyła na ich płowych główkach swoje ręce pełne maku, żeby spali słodko i długo.

I naprawdę chłopcy spali słodko i długo, bo gdy się obudzili, był już wielki dzień. W ogródku pod oknem na powiędłych i czarnych georginjach, pod mokremi gałęziami drzew nagich, siedział szary, jak troska ludzka i niedola, mokry i chłodny listopad.

A gdzieś daleko, daleko, niby za miastem, a pewno w mieście, pukały salwy karabinów i rozsypywały się grochem po szybach.

Luś skoczył z łóżka i usiadł na stole.

W nocy musiał padać deszcz, bo na dróżce pod oknem we wszystkich wydeptanych zagłębieniach stała woda, a kora drzew była aż czarna od wilgoci. A niebo brudne i ciężkie wisiało niziutko tuż nad ziemią.

— Deszcz pada — zawołał, wskakując z powrotem do łóżka.

— Deszcz, a od rana strzelają — zauważył Wojtek.

— Widocznie chcą wcześniej skończyć... — dodał po chwili pół żartem.

— Byle nie skończyli bez nas — zawołał Luś i zaczął się ubierać.

Dopiero wówczas przypomniał sobie Wojtek swoją nocną z nim rozmowę i myśl jego zaczęła pracować nad planem wyprawy. Więc przedewszystkiem stanęło przed nim pytanie, jak wyjść z domu, czem upozorować wyjście — toż na dworze był zapłakany listopadowy dzień.

— Dziś nie puści nas pani Nowowiejska na spacer — powiedział wstając z łóżka.

— Żeby tylko do szkoły puściła — zawołał Luś.

— E, do szkoły... do szkoły puści.

Jakby w odpowiedzi na te słowa padła gdzieś daleko salwa karabinowa i zadzwoniła na szybach.

— Słyszysz? — zawołał Luś, nastawiając uszu — Może i do szkoły nie puści.

— To gdzieś za miastem.

— Ale nie, to karabiny.

— Więc co?

Luś machnął ręką: — żeby tak nie znać się na odległości strzału, jak Wojtek!

Z pewnością babcia lepiej orjentuje się od ciebie — powiedział.

A gdy to mówił właśnie stanęła na progu babcia. Widocznie jednak nie słyszała ostatnich słów jego, bo nie zapytała, o co im chodzi, a powiedziała, że do szkoły nie pójdą.

— Posyłałam Martę na miasto — mówiła. — Lekcji niema aż do odwołania. Nie potrzebnie wstaliście tak wcześnie. Deszcz pada i chłód na dworze.

Pogładziła Wojtka po głowie, pocałowała Lusia w czoło.

— Ale, babciu, — powiedział Luś — chcielibyśmy odwiedzić Bazię.

— Chyba w południe moje złotko.

— Wybornie! Pójdziemy po drugiem śniadaniu! — zawołał Luś i pobiegł umyć się do łazienki. Po chwili i Wojtek podążył za nim.

Po drodze ma się rozumieć zaszli do kuchni dowiedzieć się od Marty, co słychać na mieście. I dowiedzieli się, że walka wre, że szkoła Sienkiewicza jest główną twierdzą polską, że zabłąkane kule zabijają ludzi i że pewnie dlatego babcia nie pozwoli im wyjść na miasto. Usłyszawszy to, upadli na duchu i przed udaniem się na śniadanie długo naradzali się w łazience szeptem.

Ale przy śniadaniu nabrali otuchy. Babcia opowiadała im, jak tam gdzieś na górze walczą Polacy, jak zdobywają dom za domem. Mówiła im z zachwytem, że w walce biorą udział dzieci, małe zupełnie dzieci. Robią wywiady, donoszą żywność i amunicję walczącym.

Ten zachwyt babci dużo dał im do myślenia, była nawet

chwila, że chcieli obaj opowiedzieć jej o swoich zamiarach, lecz się w końcu nie odważyli. Nawet o spacerze na miasto nie wspomnieli, mając przyrzeczoną przez babcię wycieczkę do Bazi, która, jak oni, mieszkała na ulicy Zielonej.

Dnia tego jednak i do Bazi nie poszli, chociaż i deszcz przestał padać i niebo się wypogodziło zupełnie, bo właśnie, kiedy mieli zamiar wychodzić, przyszła Bazia. Usiedli więc w saloniku i zaczęli rozmawiać z nią o Rusinach i o tej nowej wojnie, a potem poszli do swego pokoju i uczyli Bazię fechtunku, a kiedy babcia wyszła do kuchni widocznie dla przygotowania dla nich jakiejś wybornej jak zwykle legominy, powiedzieli Bazi, że się przedrą przez ruski front i wstąpią obaj do wojska.

Bazia przysięgła uroczyście, że nikomu o tem nie powie i przyznała się, że jej się to strasznie podoba.

— Ale jak się będziecie przedzierać? — zapytała zaciekawiona.

— Można przekraść się w nocy — rzucił Luś.

— Jabym i we dnie potrafił — pochwalił się Wojtek.

— Ale jak? — zapytała go Bazia.

— Można okólną drogą — zawołał Wojtek — Można wyjść z miasta| choćby tą ulicą Zieloną i iść wprost przed siebie, a potem zawrócić na prawo i polami brnąć aż do toru kolejowego a potem...

— Co potem? — zapytał gwałtownie Luś.

— A potem iść torem aż do miasta.

— I oddać się w ręce Rusinom, którzy są na dworcu! — zawołał Luś, który był za przekradaniem się w nocy.

Bazia, której się zrazu bardzo podobał plan Wojtka, odrazu po uwadze Lusia straciła do niego zaufanie.

— Ma się rozumieć, że na dworcu są Rusini! — zawołała.

Wówczas odezwał się znowu skonfundowany niepowodzeniem Wojtek.

— Mam ja i drugi plan, ale ten trudniejszy.

— Trudniejszy... — Z zachwytem powtórzyła Bazia, której właśnie podobały się rzeczy trudniejsze.

— O tak, — mówił Wojtek — ten jest o wiele trudniejszy. Jest na ulicy Pańskiej zakryte kratą wejście do kanału. Widziałem, jak tam schodzili ludzie. Otóż można podważyć kratę i zejść pod ziemię i kanałami przejść na tamtą stronę.

Umilkli, bo w pasażu między kuchnią a jadalnią dały się słyszeć kroki babci.

— Sza! — kładąc palec na usta, wyszeptał Luś.

I on i Bazia byli oczarowani pomysłem Wojtka. Pociągały ich wyobraźnie podziemne, pleśnią pokryte, czarne przejścia, błędne korytarze wiodące Bóg wie dokąd i ten strach, który się gnieździ w nieznanych mrocznych kątach. Ale to w samej rzeczy był bardzo trudny plan. Pod ziemią, w mroku łatwo stracić kierunek drogi i zamiast wyjść koło szkoły Sienkiewicza, można znaleźć się na placu Marjackim.

Cichym szeptem wytłumaczył to Wojtkowi Luś, a żeby babcia nie myślała, że spiskują, zaczął opowiadać o Warszawie, o moskalach i niemcach i o wojnie. Mówił między innemi, że kiedy niemcy aresztowali i wywieźli Piłsudskiego i on i jego koledzy chodzili z kartkami na czapkach z napisem: „Niech żyje Piłsudski!“ i mówił, że kiedy Beseler, generał-gubernator warszawski, zażądał, żeby Belina ze swoimi ułanami złożył mu przysięgę, Belina odpisał, że sam nie przyjedzie i że mógłby mu parę koni do tego przysłać, ale wątpi, czy nawet konie zechcą przysięgać.

Śmiała się z tego Bazia, śmiał się Wojtek i babcia, która to opowiadanie z sąsiedniego pokoju słyszała, zaczęła się śmiać i powiedziała:

— Jużto naszych ułanów zawsze się trzymały facecje...

Tak zeszedł dzieciom czas do obiadu, a po obiedzie zrobiło się ciemno od deszczu i nie można było nawet marzyć o spacerze. Po Bazię przyszła mama z chustkami, kaloszami i dużym parasolem w ręku i zabrała ją do domu.

Przyniosła ona trochę nowin z miasta, które wnet zakomunikowała babci. A więc legjoniści mieli opanować dworzec kolejowy

i magazyn z bronią i amunicją, na ulicy Sapiehy i Grodeckiej wre dotąd walka, jest wielu rannych i są zabici.

Z zapartym tchem słuchały dzieci tych wiadomości, a kiedy Bazia, okręcona chustkami, poszła wraz z mamą do domu, zauważył Wojtek że, wobec oswobodzenia dworca kolejowego, jego pierwszy plan jest najlepszy.

Luś kręcił głową, ale nie protestował. Nie można było o tem długo mówić, dzieci bowiem przekonały się, że babcia miała słuch znakomity.

Szaro już było zupełnie i babcia u siebie paliła już elektryczność, kiedy Luś usiadł do pianina, żeby opowiedzieć graniem, że idzie na wojnę.

Grał długo i nie spostrzegł, że się w pokoju zrobiło zupełnie ciemno.

Więc zamknął pianino i rozejrzał się po ciemnym pokoju. W mroku wieczornym za oknem padł gdzieś daleko strzał karabinowy, pojedyńczy, suchy.

Luś podszedł do okna i patrzył z ufnością w mrok. Był to jego sprzymierzeniec, który miał go osłonić przed wrogiem.

Dnia tego, leżąc w łóżkach, długo ze sobą rozmawiały dzieci.

Dużo rzeczy było do załatwienia przed wyjściem z domu i należało wszystko omówić rzetelnie. A więc nie można było iść na wojnę w uczniowskich czapkach bez orzełków i bez plecaków, nie można było również iść w pończochach i należało zaopatrzyć się w bandaże. To wszystko należało kupić. Luś miał w swoim kuferku 120 koron, które mu pan Nowowiejski wyjeżdżając zostawił, Wojtek zaś miał tylko 50, ale u siebie w mieszkaniu stryja.

Więc przedewszystkiem jutro należy zrobić wycieczkę na miasto, wydostać Wojtkowe kapitały i załatwić sprawunki — a potem, co Bóg da. Noc ich osłoni przed wrogiem.

Leżeli z otwartemi oczami wpatrzeni w tę noc — i Wojtek zasnął pierwszy, Luś zaś długo jeszcze w wyobraźni swej odbywał niebezpieczną podróż na tamtą stronę frontu. Skradał się w mroku

niezapalonych latarń, pełzł pod ścianami nieoświetlonych domów, wymijał zręcznie patrole ruskie, dopadał do swoich okopów i tam, ubrany w siwą maciejówkę z białym orzełkiem nad daszkiem, kropił z dużego, prawdziwego karabinu do wroga. A kiedy wreszcie zasnął, zdawało mu się, że zdrzemnął na pozycji, więc spał niespokojnie i co chwila się zrywał.

Po tak spędzonej nocy obudził się późno. Wstał z głową rozpaloną i z wypiekami na twarzy — babcia posądziła go nawet o to, że jest chory i kazała zmierzyć temperaturę. Jakże zacny był ten termometr, z jakim triumfem zanieśli go malcy do babci — wskazywał tylko 36,7.

Dzień był szary i wietrzny. Marta utrzymywała, że nad ranem, kiedy wychodziła na miasto, biały mróz leżał w ogrodzie.

— A co tam mówią na mieście? — zagadnęła ją babcia.

— Mówią... dużo mówią... — zaczęła Marta i opowiedziała, że dworzec kolejowy jest napewno w rękach legjonistów, że prócz tego wzięli magazyn z amunicją i park automobilowy, zajęli plac Bema i całą niemal ulicę Sapiehy. A hajdamacy ogłosili stan oblężenia.

— Wojna! Wojna! — zaczęli krzyczeć malcy i skakać dokoła babci.

— Czegoście się tak ucieszyli? — zapytała ich babcia.

— Bo jest wojna! — zawołał Luś.

— Tak, proszę pani, wojna! — powtórzył za nim Wojtek.

Babcia myślała, że powarjowali, ale Luś wytłumaczył jej przyczynę swojej radości. Wojnę można wygrać, a jak wojny niema to i wygrać nie można.

Uśmiechnęła się na to babcia, pogładziła go po głowie i powiedziała:

— Mój ty głuptasie!

Ale za to, kiedy w południe chmury się rozpełzły i z nieba zaczęło się uśmiechać blade, jesienne słońce, bardzo chętnie się zgodziła, żeby poszli na spacer, nie ograniczała nawet terenu ich

przechadzki, bo Marta mówiła, że Rusini przestali już strzelać po ulicach i że kordonem wojska otoczyli te miejsca, gdzie dolatują kule.

Wydobył więc Luś wszystkie swoje korony z kuferka i zaraz po śniadaniu wyruszył z Wojtkiem na miasto.

Nie poznały dzieci Lwowa, znalazłszy się na ulicy Batorego. Pusto było na chodnikach i bramy domów były zamknięte. Spotykani tu i owdzie przechodnie patrzyli na nich z nieufnością i zdziwieniem.

Ale na ulicy Kopernika nie było wcale przechodniów, a zato środkiem ulicy leciały z nieprzyjemnym świstem kule i Luś z Wojtkiem musieli iść pod ścianami domów.

Tak dobrnęli szczęśliwie do mieszkania pana Niewczasa.

Zdziwił się pan Niewczas, ujrzawszy ich wchodzących do warsztatu. W obawie przed kulami już od kilku dni nie zajrzał do niego żaden z klientów, a oni przyszli.

— Patrzcie ich! — zawołał do żony, która pod oknem właśnie nadrabiała pończochę. — Widziałaś coś podobnego? No! no! Czego się włóczycie pod kulami?

Skonfundowało Lusia takie przyjęcie, więc się tylko ukłonił i milczał, ale zato nie milczał Wojtek, ucałował ręce stryjostwu i zawołał:

— To nie pod kulami! Myśmy szli pod ścianami, a kule latają środkiem ulicy.

A potem powiedział, że chce wziąć swoje kajety i książki, bo pewnie się lekcje już wkrótce rozpoczną i powiedział, że jest mu bardzo dobrze u pani Nowowiejskiej, bo Luś gra na fortepianie, a on bardzo lubi muzykę.

Zdziwił się Luś, słysząc, że Wojtek tak lubi muzykę, kiwał pan Niewczas głową i patrzył na Wojtka z wyrzutem, nie mógł bowiem zrozumieć, skąd się w nim wzięła ta szczególna tęsknota do kajetów i książek.

A Wojtek tymczasem wpadł do swego pokoju, rozrzucił cały

swój dobytek, który się mieścił na półeczce w kącie i po chwili stanął na progu z małem zawiniątkiem w ręku.

— Już! — zawołał i zwrócił się do pana Niewczasa, całując go na pożegnanie w rękę:

— A możeby mi stryjek dał dziesięć koron, bo nie mam ołówków i brak mi paru kajetów.

— Gdzie ty to teraz kupisz? — zapytał pan Niewczas, wydobywając z kieszeni pieniądze.

— A w sklepie! — zawołał Wojtek, uradowany z nowego zasiłku, wciąż mu się bowiem zdawało, że mają za mało pieniędzy dla załatwienia tylu sprawunków naraz.

Lusiowi zrobiło się przykro, że Wojtek tak kłamie i już chciał go sprostować, gdy nagle usłyszał głos pana Niewczasa:

— A niepotrzebnie nie wałęsaj się po ulicach.

I Wojtek pociągnął go za sobą na ulicę.

Na ulicy zauważyli, że strzelanina się wzmogła. Gdzieś blisko pracował karabin maszynowy i padały granaty ręczne coraz częściej. Dzieci jednak szczęśliwie dobrnęły do ulicy Karola Ludwika i wstąpiły do sklepu.

Siwy, mały staruszek pokazał im plecaki i bandaże, wydobył z pudełek maciejówki i dwa orzełki legjonowe.

— To wszystko razem będzie kosztowało dwieście koron — powiedział. — Te rzemienie są prawdziwe, jeszcze przedwojenne.

Ze smutkiem patrzyli malcy na wydobyte towary — mieli tylko 180 koron. Nie wiedzieli, co wybrać, a co zostawić. Bandaże były nieodzownie potrzebne, plecaki również.

Słysząc ich długie narady, odwołał kupiec Lusia za ladę.

— Po co wam te rzeczy? — zapytał szeptem.

Zacne oczy miał kupiec i białe włosy na głowie, jak niemirowski dziadunio, więc Luś postanowił powiedzieć prawdę.

— Pójdziemy tam... do swoich... — powiedział.

Pokiwał kupiec głową i zamyślił się...

— Do swoich... do swoich... — powtórzył.

Jakaś słodycz wielka odmalowała się w jego oczach.

— Nie trzeba mi waszych pieniędzy! — zawołał.

Ale na to malcy przystać nie chcieli i wszystko, co mieli położyli na ladzie.

— Niech pan chociaż 180 koron weźmie — wyszeptał Luś nieśmiało.

Nic nie odrzekł na to kupiec, wziął pieniądze i zapakował wraz z nabytemi rzeczami.

— Niech służą... — powiedział.

Ukłonili się grzecznie chłopcy, powiedzieli:

— Bóg zapłać!

I wyszli ze sklepu.

Wesoło im było i dobrze. Postępek starego kupca był aprobatą ich zamiarów, umocnił w nich przekonanie, że tak uczynić powinni. Trapiła ich jeno myśl, co powiedzą babci o zawartości paczki.

A może powiemy, że zabrałem z domu mój plecak i książki — po długich debatach zaproponował Wojtek.

— Masz rację! — zawołał Luś — Tak będzie chyba najlepiej.

Nie zapytała ich jednak babcia, co niosą, bo była wówczas z Martą w kuchni i nie widziała ich wchodzących.

— Dobry to znak, że nam się tak wiedzie — powiedział Luś, pakując do kuferka przyniesione zawiniątko. I potem wszystko szło, jak po maśle. Dzień nie był nazbyt długi, wieczorem deszcz nie padał, babcia, która zawsze wszystko widziała, nie zauważyła ich przygotowań, nie zapytała o czem szepcą po kątach i ani razu nie zajrzała do ich pokoju, a co najważniejsza, spała mocno, jak nigdy, gdy w nocy w maciejówkach na głowach, z bandażami na nogach i plecakami na ramieniu ostrożnie wymykali się z mieszkania. Nie zadzwonił duży mosiężny zatrzask w sieni, nie obudził się stary stróż nocny, wtulony w ciężki kożuch pod żelaznemi sztachetami ogródka babci. Wszystko szło, jak po maśle.

Na biurku swojem pod czerwoną bibułą Luś zostawił list:

Kochana Babciu i Ty Tatusiu!

Idę wraz z Wojtkiem na wojnę i proszę się za to na nas nie gniewać, bo tak trzeba, żebyśmy poszli. Musimy bronić Lwowa, bo tu zacznie się Polska. Całuję rączki

Luś Nowowiejski.

Wojtek nie pisał nic. Stryj i tak się dowie o wszystkiem od pani Nowowiejskiej, a może nawet nie będzie się dowiadywał.

Nie brał tego Wojtek do serca.

— Mniejsza o to! — myślał z pewną urazą do losu i do swego sieroctwa.

Czarna noc stała na dworze, gdy się nasi malcy znaleźli na ulicy. Zimny wiatr rzucił się na nich i zaczął ich bić po twarzach i szumieć w uszach. Ogłuchli od wiatru i oślepli od mroku. Szli

pod ścianami domów, skradali się, jak złodzieje. A tak idącym, ogłuchłym i oślepłym, zdawało się, że ich wszyscy widzą i wszyscy słyszą, więc się kurczyli coraz więcej i przyciskali do ścian coraz mocniej.

Powoli jednak przyzwyczaili się do mroku i wiatru i przyszli do przekonania, że ich nikt nie widzi, bo nie było na ulicy nikogo, nie wolno było bowiem, wobec ogłoszonego stanu oblężenia, nikomu wychodzić na ulicę w nocy bez specjalnych przepustek. Z tej też racji nie zapalano latarń, przez co całe miasto pogrążone było w mroku.

Luś szedł na czele, w pewnem oddaleniu za nim postępował Wojtek. Bał się iść pierwszy, jakkolwiek lepiej od Lusia znał miasto. Przerażał go mrok i martwa pustka ciemnych ulic, i stan oblężenia grożący karami, i ci ruscy żołdacy, wałęsający się po ulicach. Luś zaś, który już nieraz w wyprawie swojej do Zatopionego królestwa błąkał się po lasach w nocy, rozmawiał z krasnoludkami i księżycem, nie bał się niczego i szedł raźno na przedzie.

Na rogu Pańskiej usłyszeli gdzieś przed sobą stąpanie ciężkich nóg i lekki brzęk ni to szabel, ni to ostróg. Widocznie szedł patrol, więc przykucnęli w głębokiej framudze bramy w grubym mroku i trwożnie patrzyli przed siebie.

Środkiem ulicy szli żołnierze. Wyglądali, jak baby idące do kościoła. Jedni trzymali karabiny, jak parasole, inni znów wlekli je po bruku, jak laski. Malcy pierwszy raz widzieli takie wojsko, więc trącali się nawzajem.

— Patrz! patrz! — szeptał Luś.

— Wlecze karabin po bruku...

— Patrz!

Luś zaczął ich po cichu liczyć.

— Trzynastu... — wyszeptał po chwili.

— I ja policzyłem — odezwał się Wojtek.

— Tss... — ostrzegł go Luś. — Tss...

Za tym trzynastym wlókł się jeszcze jeden z tyłu. Był prawdopodobnie oficerem, bo szedł bez karabina, ale z wydobytą szablą w ręku.

Wkrótce i ten ostatni zginął im z oczu, więc wyszli z ukrycia i jęli wolno posuwać się naprzód. Co pewien czas zatrzymywali się, nasłuchując.

— Nic nie słychać... — szeptał Wojtek.

— Nic — mówił Luś i posuwał się naprzód.

— Ich oficerowie chodzą z tyłu za żołnierzami — zauważył, gdy w pewnem miejscu przystanęli.

— A z tyłu — zawołał Wojtek.

— Przecie tak oficerowie nie chodzą.

— A jak?

Luś machnął ręką.

— Takiś ty żołnierz, jak oni — wyszeptał i ruszył dalej.

Szli coraz wolniej i ostrożniej. Nie wiedzieli, jakim sposobem dobrną do swoich, w jakiem miejscu przekroczą niebezpieczny kordon ruskiego frontu.

Dążyli do szkoły Kadeckiej. Od Marty wiedzieli, że jest to jedna z placówek, bronionych przez Polaków.

Im bardziej zapuszczali się w ulicę Zyblikiewicza, tem większy niepokój ogarniał nawet Lusia, który niczego się nie bał.

Milczała czarna noc, milczała pusta ulica.

Luś z trwogą przyglądał się sylwetom nieznanych sobie domów, przybierających w mroku jakieś potworne kształty.

Zaczarowane miasto!

I wydała mu się zaczarowana naprawdę ta ciemna ulica i te czarne wysokie domy, i to coś nieznane, co czekało ich na końcu ulicy. Więc dla dodania sobie odwagi przyspieszył kroku i zmrużywszy oczy, niemal biegł przed siebie.

Wkrótce też znaleźli się obaj na małym placyku, skąd skręcili na lewo. Luś zdawał sobie sprawę, że znajduje się w miejscu najniebezpieczniejszem i szedł znów wolno, przesuwał się w mroku najgrubszym pod ścianami kamienic. Wojtek, jak cień, podążał za nim, rozglądając się trwożnie dokoła.

Szczęście im jednak sprzyjało, bo dopiero wówczas, gdy znaleźli się pod parkiem Kilińskiego ktoś z dołu zawołał donośnie:

— Chto ide?

Wojtek uczepił się Lusiowi za rękaw. Wcisnęli się na chwilę pomiędzy mokre gałązki żywopłotu i stali, milcząc.

Wówczas w dole za nimi ktoś zaczął nawoływać:

— Hej! hej! Chto ide?

— To tam, za nami! — zawołał Luś.

— Za nami — powtórzył Wojtek.

A ledwie zdali sobie z tego sprawę, że już niebezpieczeństwo największe było za nimi, zrobiło im się raźno i wesoło.

— Chto ide? — jeszcze raz zawołał ktoś w dole.

Wówczas wyszli z ukrycia i zaczęli biec naprzód. Już teraz nie gonił ich strach, nie chwytał długiemi rękami za poły paltocików, nie rzucał jakichś ciężkich przeszkód pod nogi. Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że już przeszli przez front i że już są u celu. Dlatego też nie drgnął z nich żaden, gdy z dołu posypały się strzały karabinowe i tuż nad głowami ich zaświstały kule.

— Nie trafią! — zawołał Wojtek.

— A jeśli trafią, to przypadkiem — pocieszał go Luś.

Było mu tak wesoło, że chciał się śmiać, więc zatrzymał się, obrócił w stronę strzelających i pokazał język.

Na dole znowu rozległo się kilka strzałów.

— Czyś ty zwarjował, Luś? — zawołał Wojtek i pociągnął go za rękaw pod mur.

Wówczas daleko przed nimi ktoś krzyknął:

— Kto idzie?

— Swój! — zawołał donośnie Luś, chciał bowiem, żeby i ten tam za nimi, który strzelał, wiedział, że im się nic nie stało.

— Hasło? — ktoś zapytał w mroku.

— Nie znamy hasła — odpowiedział Luś — przychodzimy z miasta zaciągnąć się do wojska.

— Stać! — padł rozkaz i malcy stanęli.

W mroku pod drzewami ozwały się kroki zbliżających się do nich żołnierzy. Szli z odwiedzionymi do strzału karabinami i zatrzymali się o parę kroków przed malcami.

— Kto? — zawołał donośny głos.

— Wojciech Niewczas i Ludwik Nowowiejski, uczniowie ze szkoły Kistryna — zameldował Luś, stojąc na baczność.

— Uczniowie — ktoś powtórzył w mroku.

— Co tu robicie? — zapytał ktoś inny.

— Przyszliśmy zaciągnąć się do szeregów.

Wówczas żołnierze opuścili broń i podeszli bliżej. Było ich pięciu.

— Koledzy do szeregów? — powiedział wysoki stary żołnierz.

Jakaś dłoń wyciągnęła się do Lusia z mroku, ktoś otarł się o Wojtka.

— Do was strzelali?

— Tak! — odpowiedział Luś.

— Co słychać na mieście? — zapytał jeden z żołnierzy.

Luś chciał zacząć mówić, gdy inny zawołał:

— Nie tu! Idźcie za nami.

Więc ruszyli społem. Szli w mroku pod drzewami, potem

wyszli na placyk, po przejściu którego znaleźli się przed gmachem szkoły. Wówczas ktoś zapytał:

— Kto idzie?

Ten, który szedł na czele, wymienił hasło, ale tak, że Luś nie słyszał. Wówczas otworzyła się furtka i wszyscy weszli na podwórze, skąd dostali się do jasno oświetlonej sali na parterze.

Zrazu światło lamp elektrycznych tak kłuło ich w oczy, że prawie nic nie widzieli, po chwili jednak ujrzeli oficera drzemiącego nad pliką pomiętych i brudnych papierów rozłożonych na dużym, białym stole.

Zbudzony ich wejściem podniósł głowę i przez chwilę mierzył przybyszów oczyma.

— Skąd i kto? — zapytał.

— Uczniowie ze szkoły Kistryna.

Kiwnięciem ręki przywołał do stołu oficer Lusia, jako że Luś był wyższy i starzej wyglądał od Wojtka.

Podszedłszy do stołu, ujrzał Luś, że oficer był porucznikiem. Nogi miał do kolan zabłocone i ręce brudne. Patrzył na Lusia czerwonemi ze zmęczenia oczyma i uśmiechał się pogodnie.

— Więc kolega jest ze szkoły Kistryna? — zapytał.

Luś dość niezgrabnie zrobił samowar — nogą o nogę stuknął i łokcie w tył odsadził.

— Tak jest, panie komendancie! — powiedział.

Przywołał komendant i Wojtka, rękę do jednego i drugiego wyciągnął, powiedział im swoje nazwizko i kazał im usiąść nawprost siebie przy stole.

Był żołnierzem z Pierwszej Brygady.

Roześmiały się Lusiowi oczy i zapłoniła się twarz z radości i szczęścia, że jego komendant jest żołnierzem z Pierwszej Brygady. Z ust zrywał mu się okrzyk: — niech żyje Piłsudski! — i nogi same chciały stanąć na baczność. Bo niedoścignionym ideałem, niezrównanym bohaterem był dla niego każdy żołnierz z Pierwszej Brygady. Wszystkie oddziały wojskowe, które między kolegami

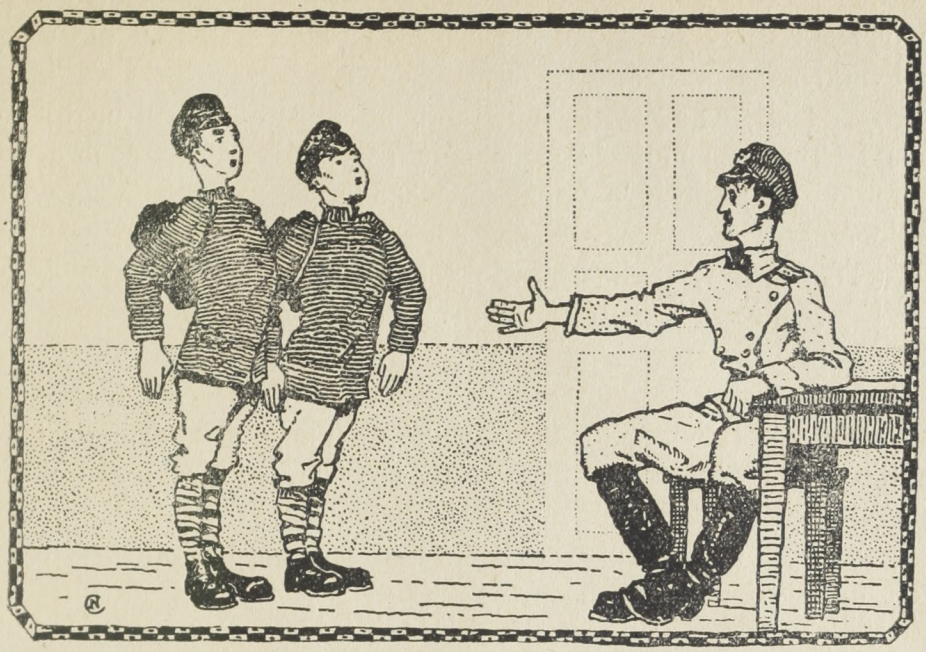

formował w Warszawie i tu we Lwowie, składały się zawsze z samych piłsudczyków.

Siedział więc wpatrzony w komendanta, jak w tęczę, i nie słyszał, o co ten pytał Wojtka. Oprzytomniał dopiero wówczas, gdy komendant zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Co słychać na mieście?

Wszystko, co wiedział, opowiedział Luś komendantowi. Powtórzył wszystkie opowiadania Marty, wszystkie wiadomości z „Kurjera Lwowskiego“ i wogóle wszystkie rzeczy widziane i słyszane. Opowiadał to po swojemu, nerwowo, zacinając się w połowie zdania, tak że porucznik prawdopodobnie nie dużo z jego opowiadania zrozumiał.

— A czy karabin znacie? — zapytał, kiedy Luś wreszcie skończył.

Luś strzelał z floweru do celu, Wojtek z procy tłukł wróble,

a nieraz i szyby sąsiadom, ale z prawdziwego karabinu nie strzelali nigdy.

— Dziś mamy względnie dobrą noc, — powiedział na to komendant — więc możecie się przednio wyspać, a jutro nauczą was karabinu i pójdziecie na pozycję. Każde ręce się przydadzą w tej walce.

To rzekłszy, zwrócił się do żołnierzy.

— Zaprowadźcie tych młodych kolegów do koszar.

A malcom, gdy wstali z za stołu rzucił:

— Bywajcie!

Luś zrobił wcale nieźle samowar, Wojtek nieco gorzej i po chwili obaj znaleźli się w dużej i mrocznej sali, w której na wiązkach słomy spali żołnierze.

Wybrali sobie miejsce w kącie i położyli się nawpół przytomni ze znużenia i przebytych wrażeń.

III

Głęboko znać wryły się w duszę Lusia wrażenia wieczorne, skoro ledwie zasnął pod żołnierskim kocem, na wiązce pomiętej słomy, wnet przyleciały białe anioły i jęły mu opowiadać bajkę o Polsce. Okryły go białemi skrzydłami i słodkim szeptem, którego nikt inny prócz niego nie słyszał. A przed godziną świtu odleciały, tak że ich nikt nie widział, nawet on sam, chociaż właśnie wówczas się obudził.

Szaro jeszcze było zupełnie, kiedy oczy otwierał. Zrazu nie rozumiał, gdzie jest i jakim sposobem tu się znalazł i dopiero, gdy ujrzał wyłażącego ze słomy Wojtka w nowiusieńkich bandażach na nogach, przypomniał sobie wszystko i aż podskoczył z radości.

Więc już jest na froncie! Więc stanął do szeregów i został żołnierzem polskim on, Luś Nowowiejski, uczeń klasy drugiej... A przed chwilą mówiły mu anioły, że bije godzina Polski i że trzeba stanąć do apelu...

Skoczył na równe nogi i rozejrzał się dokoła.

W sali zapanował gwar rozmów i ruch. Pomiędzy wiązkami słomy snuli się nawpół ubrani żołnierze, krzyżowały się zapytania i odpowiedzi, strzelały dowcipy i żarty. Starsi wyćwiczeni żołnierze dworowali z młodszych, mniej doświadczonych, wszyscy drwili ze wspólnych niewygód i niebezpieczeństw. Ot, jak to zwykle bywa pomiędzy żołnierzami.

— Pełno masz słomy we włosach! — zawołał Wojtek, ujrzawszy go wstającego z posłania.

Miał grzebień i szczotkę i małe lusterko w plecaku, więc zaczął robić toaletę i po chwili wyglądał, jakby po wyjściu z łazienki.

— Jakeś to ty zrobił? — podziwiał go Wojtek, który nie mógł sobie dać rady ze swoją czupryną.

Tymczasem obecność ich zauważyli żołnierze, więc otoczyli ich kołem i jęli wypytywać skąd przyszli i co słychać na mieście.

Luś opowiadał, jak umiał i nieśmiało przyglądał się nowym kolegom. Byli tam starzy żołnierze i ludzie, którzy nigdy żołnierzami nie byli i trochę młodzieży w wieku szkolnym, tak młodych jednak, jak on i Wojtek, tam nie było. A najbardziej podobał się Lusiowi jeden stary żołnierz, który był na wszystkich tyłach i we wszystkich taborach i dopiero tu we Lwowie trafił zupełnie przypadkiem na front. Tak utrzymywali koledzy i śmiali się z niego i nazywali go Taborytą.

Taboryta odrazu zaopiekował się Lusiem i Wojtkiem, zdobył dla nich manierki, ustawił ich w ogonku przed kuchnią, gdzie dostali gorącego krupniku i po kawale chleba.

A tymczasem na dworze leniwie i niemrawie wstawał ze snu listopadowy dzień, słotny i wietrzny. Powoli wyłaniały się z mroku jakieś ściany szare, jakieś parkany brudne i ścieżki mokre, pod namiotami nagich gałęzi ginące.

Taboryta już podczas śniadania upewniał, że lada chwila zacznie się strzelanina.

— Niech tylko padnie pierwszy strzał — mówił — a zobaczycie, jak się zrobi gorąco.

Jakoż ledwie dzień się zrobił padł ów, zapowiedziany przez Taborytę, pierwszy strzał i odrazu zrobiło się gorąco — zadzwoniły nieprzyjemnie szklannym dzwiękiem ekrazytówki, zapukały karabiny maszynowe.

— A co? — mówił Taboryta. — Nie mówiłem, że tak będzie? Znam ja tych chamów.

W tem gdzieś na korytarzach zaczęto wołać:

— Zbiórka! Zbiórka!

Słychać było ciężkie stąpania, głuchy stuk karabinów na posadzce. Po chwili wszyscy byli gotowi do wymarszu.

Lusia i Wojtka, którzy, przywdziawszy plecaki, szli wraz z innymi, zatrzymał na korytarzu stary kapral. Miał sumiasty biały wąs i twarz marsową.

— A wy dokąd? — zapytał.

— Na pozycję — odpowiedział Luś.

Uśmiechnął się pod wąsem stary kapral i pokiwał głową.

— Tak bez karabinów? Co? — zawołał.

Malcy stali, jak złapani na gorącym uczynku jakiejś psoty w szkole. Nie wiedzieli, co odpowiedzieć na tak ważki argument.

Widząc ich zakłopotanie, uśmiechnął się stary kapral i wziął Lusia pod brodę.

— Poczekajcie tu chwilę — powiedział łagodnie — wyprawię żołnierzy i wrócę. Wydam wam broń i amunicję i nauczę was obchodzić się z karabinem. A potem marsz na pozycję!

— Wedle rozkazu! — zawołali malcy.

Nie długo kazał na siebie czekać stary kapral, ale jeszcze krócej trwała nauka strzelania, bo i Luś i Wojtek byli pojętnymi uczniami, a pociski nieprzyjacielskie coraz gęściej padały na gmach szkoły Kadeckiej i czyniły coraz większe spustoszenie. Tynk sypał się ze ścian i szyby pękały.

Stary kapral trząsł głową i burczał pod nosem, stary kapral

mówił sam do siebie, że dzień będzie gorący, bo z chwilą kiedy się dowiedział, że Luś i Wojtek są uczniami klasy drugiej, nie rozmawiał z nimi po ludzku i traktował ich, jak dzieci.

Nie podobało się to Lusiowi, a i Wojtek krzywił się na to. Sam pan komendant nie uważał za stosowne dowiadywać się, do której klasy uczęszczali w szkole, a tu naraz kapral... Już umieją przecie strzelać z karabinów, więc co jemu do tego.

Oburzenie ich jednak nie miało granic, gdy obliczając dla nich ładunki, stary kapral zapytał z nienacka:

— A czy mamusie wiedzą? Czy pozwoliły?

Spojrzeli na siebie z przerażeniem.

Wojtek zakręcił się na pięcie i chciał już uciekać, Luś jednak schwycił go za rękę i głosem jak najgrubszym zawołał:

— Na to pozwolenia nie trzeba!

Pokiwał stary kapral głową, zamruczał coś pod nosem i poprowadził ich na pozycję.

— Nie trzeba, może i nie trzeba... — mruczał, idąc w stronę cmentarza stryjskiego, dokąd trzeba było iść tyraljerką, bo tam już dokoła świstały kule i ścinały z drzew gałęzie, które spadały idącym pod nogi.

Pozycja, była to jama tuż przy jakimś grobowcu z piaskowca wykopana w błocie.

— Strzelajcie w tamtą stronę, a nie wychylajcie się zbytnio — powiedział kapral odchodząc.

I malcy pozostali sami.

Byli na pozycji, bronili Lwowa... Co o tem powie niemirowski dziadunio, co powie tatuś? A ciocia Kazia? I wogóle wszystkie ciocie razem pewnie będą się na to zapatrywały, jak na jego muzykę.

Tak myślał Luś, po raz wtóry nabijając karabin.

Gdzieś daleko, daleko za starą topolą siedział Taboryta. Poznali go po tem, że machał w ich stronę chusteczką od nosa.

Wszyscy strzelali przed siebie na dół, więc i Luś i Wojtek strzelali wraz z innymi.

A chłodna wilgoć sączyła się powoli z niskiego nieba i z mokrej ziemi i przejmowała ich chłodem do szpiku kości. Więc dzwonili zębami i dla rozgrzewki tupali nogami, mięsili lepkie błoto.

— Mnie już gardło boli — skarżył się Wojtek.

— To nic — pocieszał go Luś. — Byleś tylko nie dostał gorączki, bo wtedy pójdziesz do szpitala.

— A bo tu jest szpital?

— Musi być. Jakże może być front bez szpitala. Sam widziałem dziś na korytarzu sanitarjuszkę.

Zamyślił się Wojtek nad słowami Lusia. Jeszcze kilka dni temu Polacy nie mieli nic — ani wojska, ani broni, ani amunicji, a dziś już mają to wszystko i nawet mają swoje szpitale polowe i swoje sanitarjuszki. Jakże się to stało i dzięki czemu?

Zwierzył się ze swoich myśli Lusiowi, ale dla Lusia nie było

w tem nic nadzwyczajnego — przecie Polska wstawała teraz z bajki i to, co się działo, nie było niczem innem, jak bajką.

— Czy ty znasz bajki? — pytał Wojtka — Czy wiesz, co się w bajkach dzieje? Tam się zwykle takie rzeczy dzieją — nie było nic, a potem wszystko jest! — Wojtek z otwartemi ustami słuchał tych słów i nie przeczył, jakkolwiek nie rozumiał ich, bajki bowiem dla niego były bajkami i niczem więcej.

Tak rozmawiając, strzelali co pewien czas z karabinów i to skracało im czas, lecz gdy dano znak, żeby zaprzestali strzelać, zaczęło im się przykrzyć siedzenie w mokrej jamie bez ruchu i jesienny krótki dzień zrobił się dla nich długi, jak wieczność.

Przyszła im na myśl babcia i stara Marta, i kiwający się wiecznie pan Niewczas. Zaczęli mówić o szkole, o kolegach.

Tak powoli zeszedł im czas do zmroku, a o zmroku kazano im znowu strzelać i późno już było, gdy ich odwołano do koszar. Jakiś duży i tęgi żołnierz wypełnił swoją osobą ich mokrą jamę aż po brzegi.

Wracali do koszar po ciemku, tyraljerką. Dopiero gdy ich zasłonił mur, uformowali się w szeregi i szli wolniej.

Obok Lusia i Wojtka znalazł się Taboryta — miał dłoń obwiązaną chustką, którą witał ich z okopu.

— Co to jest? — zapytał Luś z przerażeniem.

— Te zbóje celnie strzelają — odrzekł Taboryta — Trafili mnie w palec. Uważacie — z tak daleka trafili mnie w palec.

Niefrasobliwa wesołość zapanowała w szeregach.

— Pewnie jutro zgłosi się do szpitala — mówili, śmiejąc się, żołnierze — i znowu trafi na tyły.

Nie podobały się Lusiowi te dowcipy i żarty.

— Jak można z cudzego nieszczęścia żartować! — myślał, idąc obok Taboryty, który był widocznie innego zdania, bo przyciskając do piersi dłoń, żeby nie krwawiła, śmiał się wraz z innymi.

— Trafię, ale tym paskudziarzom, tym zaprzańcom, tym psubratom na tyły — wołał wesoło — pojadę na ich świńskich karkach aż do samego Kijowa!

Tak baraszkując weszli na podwórze i po chwili wysychali wszyscy społem koło rozpalonego pieca w obszernej i widnej sali. Każdy zdobył sobie w kuchni menażkę zupy i kawał chleba.

Snać smakowała dzieciom ta zupa żołnierska, bo jadły aż im się uszy trzęsły. A po zjedzeniu taka opanowała ich senność, że nie słyszały już dalszego przekomarzania się żołnierzy z Taborytą i nie asystowały przy opatrunku, który mu sanitarjuszka na rękę założyła.

I nigdy przedtem nie spali tak słodko Luś z Wojtkiem, jak tej nocy w kącie sali na wiązkach pomiętej słomy. A następnego dnia już im się czas w okopie mniej dłużył i Wojtka przestało gardło boleć.

A potem wszystkie dni były do siebie podobne. Wojna, o której obaj marzyli, stała się dla nich codzienną, twardą i niebezpieczną pracą.

Wróg chciał ich placówkę zdobyć, wróg rzucał na nich ogień huraganowy... Ogień huraganowy ma to do siebie, że w nim najśmielsi bledną, ale Luś, który wciąż żył w bajce, nie znał, co to strach. Ze spokojem najwyższym wykonywał zadaną mu robotę, budził podziw i szacunek śród kolegów.

Którejś nocy Rusini wdarli się do okopów. Luś z Wojtkiem byli wówczas w koszarach, ale zato nazajutrz, gdy o świcie przyszło okopywać się pod ogniem karabinowym, Luś dokazywał cudów. Podziwiali go starzy żołnierze, nawet sam kapral, który go uczył strzelać, patrząc, jak chodzi pomiędzy kulami, jak głowę zadziera a nozdrzami porusza, pokiwał głową i powiedział:

— Co za bestja z tego smarkacza!

I odtąd nazywał go kolegą i klepał po ramieniu przyjaźnie. Bardzo na rękę była Lusiowi ta zmiana w usposobieniu kaprala, dzięki niej bowiem mógł teraz niejedną noc spędzić w okopach, co mu się dotąd zwykle nie udawało. Nocne dyżury na pozycji przekładał nad dzienne, noc bowiem kryła w sobie ciekawe niespodzianki, których nie było we dnie, noc miała bajkę, którą dzień zacierał.

Ale jednej nocy nie zapomni chyba nigdy.

Była czarna, jak smoła, i nieskończenie długa. Deszcz mżył i zamarzał odrazu, okrywając lodową powłoką ramiona i plecy i lufy karabinów. Nogi zdrętwiały od zimna i jakby napełniły się kłującą wodą sodową. Trudno było leżeć na mokrej ziemi i nie można było się podnieść, bo nieprzyjaciel strzelał zawzięcie. Z wieczora przewidywano nawet, że w nocy rozpocznie się atak.

Jakoż o północy strzelanina ucichła i na całym cmentarzu zapanowała groźna cisza, zwiastująca zwykle wybuch.

Tamując oddech w piersiach, siedzieli żołnierze nasi w okopach, wytężając wzrok i słuch w stronę, z której przed chwilą leciał na nich morderczy grad kul.

Wojtek drżący od zimna przytulił się do Lusia. Przerażała go niepewność sytuacji, i dokuczał chłód.

Nagle jakieś podejrzane szelesty rozpełzły się po cmentarzu.

— Co to jest? — bez głosu prawie zapytał Wojtek.

Luś się nasrożył i popatrzył w mrok.

— Pewnie idą... — szepnął i uczuł nagle, że go ktoś ciągnie za rękaw. Obejrzał się i ujrzał ku najwyższemu zdziwieniu na skraju jamy, w której siedzieli, swego dawnego dobrego znajomego, Krasnoludka z niemirowskiego lasu. Więc, zapominając o czającem się w mroku niebezpieczeństwie, zawołał:

— A ty skąd się tu wziąłeś?

Krasnoludek położył palec na ustach, chcąc tem Lusiowi nakazać milczenie, a, korzystając z tego, że Luś siedzi w niskiej jamie, przyłożył mu usta do ucha i szepnął:

— Nie krzycz na miłość Boga... Już pełzną... Słyszysz, jak pełzną? Trzeba ich zatrzymać koniecznie, mój Lusiu! Ja ci pomogę, ylko zachowaj się rozsądnie. Weź karabin i granaty ręczne i chodź!

Nie namyślał się Luś, nie ociągał. Zawiesił u pasa pięć granatów ręcznych i wziął karabin do ręki.

— Idź za mną — szepnął Krasnoludek — Ja cię zasłonię.

Śmiać się chciało Lusiowi z takiej zasłony. Od ziemi nie odrósł,

a chce go zasłonić — myślał, idąc za Krasnoludkiem, ledwie jednak wysunął się z okopu, wnet zauważył, że się dzieje coś niezwykłego. Rozstąpiły się przed oczyma jego najgrubsze mroki i zrobił się z nocy dzień. I Luś ujrzał, że się cały cmentarz porusza. Pod osłoną pomników i starych drzew ze wszystkich stron pełzli ruscy żołnierze wprost na ich okopy, a musieli mieć noc w oczach, bo nie widzieli jego. Nie namyślając się przeto, ruszył prosto na nich, a gdy go już zaledwie parę kroków od nich dzieliło, rzucił w nich granatem ręcznym.

Zamęt się stał nie do opisania. Skłębili się ludzie, jak robactwo. Zaledwie kilku z nich zerwało się z ziemi i zaczęło uciekać, czyniąc larum dokoła — reszta leżała bez ruchu. Co widząc Luś, podbiegł do innej grupy i cisnął drugi granat. I potem tak szedł za Krasnoludkiem, niosąc straszne spustoszenie w szeregi wrogów, którzy pierzchali przed nim, zostawiając na placu zabitych i rannych.

Stała się jednak rzecz, której Luś nie przewidział, bo oto żołnierze nasi, słysząc wybuchy granatów ręcznych i jęki, otworzyli

ogień karabinowy i Luś niespodziewanie znalazł się na linji ich strzałów.

Lecz i z tego niebezpieczeństwa salwował go szczęśliwie Krasnoludek, bo ledwie stanął od strony, z której leciały kule, wnet kule zaczęły schodzić im z drogi, co widząc Luś, odważnie powracał do swoich okopów.

A gdy był już blisko i gdy go żołnierze, którzy mieli noc w oczach, pomimo niej dojrzeli powracającego, głośne: — Hurra! — zabrzmiało ze wszystkich stron, tak, że zdawaćby się mogło, że zerwali się i biegną do ataku.

Lecz atak ruski był już odparty przez Lusia, więc tylko powychodzili ze swoich nor i otoczyli go kołem.

Wówczas dopiero zauważył Luś, że jego Krasnoludek gdzieś się ulotnił. Przeląkł się niezmiernie, bo myślał, że go ci rozentuzjazmowani a niezgrabni żołnierze zadeptali w tłoku, przyszło mu jednak potem na myśl, że taki mały Krasnoludek wszystkowidzący i wszystkosłyszący, nie da się tak łatwo niezgrabnym żołnierzom zadeptać.

A żołnierze tymczasem zasypywali go tysiącem pytań.

— Jakeś to zrobił?

— Żeś się nie bał! — mówili dokoła.

Długo musiał Luś opowiadać, jakim sposobem zrobił ten wypad, jak sam jeden odparł atak.

— Mam dobre oczy — mówił podporucznikowi, który tej nocy na odcinku pełnił służbę, — mam bardzo dobre oczy. Mówił mi to zawsze w szkole profesor kaligrafji. Zobaczyłem ich z daleka... I tu byli i tam byli... Więc popełzłem do nich z ręcznemi granatami w ręku... I już.

A gdy tak mówił, dokoła w mroku zaczęły rozlegać się jęki i wołania o pomoc. Jakoż wkrótce zjawiła się pomoc. Nadbiegli z koszar sanitarjusze z noszami i latarkami elektrycznemi. Zaroił się cały cmentarz ludźmi.

I wkrótce ukazały się nosze z rannymi. Powitano ich głuchem milczeniem, wszyscy bowiem mieli szacunek dla bólu ludzkiego.

Tych rannych naliczył Wojtek piętnaście. Od sanitarjuszów zaś dowiedział się, że drugie tyle zostało na placu nieżywych.

Resztę nocy spędzili żołnierze, paląc fajki i gwarząc wesoło. Udał im się ten mały Luś, któremu profesor kaligrafji powiedział, że ma dobry wzrok. Ho, ho! dobrze jest mieć taki dobry wzrok. Taboryta ma pewnie gorszy.

— Taboryta, czy profesor kaligrafji nie chwalił twego wzroku?

— Za moich czasów ludzie nie uczyli się kaligrafji... Ho, ho! każdy już w pieluchach kaligrafował — żartował Taboryta i był dumny z Lusia, którego nazywał swoim pupilem. Zdawało mu się, że to właśnie on do tego zwycięstwa się przyczynił.

O świcie dopiero zdał podporucznik komendantowi raport z nocnej wyprawy. Opowiedział wszystko, jak było i kto to zrobił.

Wnet też kazał komendant zawołać do siebie Lusia.

Długo patrzył mu w oczy i nic nie mówił.

— Taki dobry macie wzrok, kolego! — zawołał wreszcie, uśmiechając się pod wąsem.

— Tak jest! Melduję, iż mam dobry wzrok — wyrecytował Luś.

Dłużej nie umiał już komendant utrzymać powagi — porwał Lusia w ramiona i uścisnął serdecznie.

Widział to przez nawpół uchylone drzwi Taboryta, a że języka za zębami utrzymać nie umiał i dla Lusia miał sentyment niezwykły, wnet wszystkim żołnierzom opowiedział, jakie Luś ma zachowanie u komendanta i że go komendant po rękach całował, jak rodzonego ojca.

Tłumaczył się Luś i mówił, że to nieprawda. Taboryta jednak dawał słowo, że widział to na własne oczy.

Śmiali się żołnierze z tego słowa Taboryty, ale dla Lusia byli z należytym respektem, co wszystko razem tak go wzruszyło, że pomimo nocy niespanej wcale spać się nie położył.

W południe przyszedł stary kapral i wyściskał Lusia i wycałował serdecznie.

— A toś zuch! — powiedział — Te chamy musiały się na

całej linji cofnąć, bo dotąd ich wymacać nigdzie nie możemy. Toś ich urządził, jak się patrzy!

Co usłyszawszy Taboryta, zawołał:

— Jednem słowem, niech żyje Luś!

— Niech żyje! — podchwycili żołnierze.

A widać prawdę mówił stary kapral o cofnięciu się wroga, bo dopiero późnym wieczorem dobiegły echa pierwszych strzałów i przez całe dwa dni następne żołnierze nasi mieli spokój.

Ale za to potem ze zdwojoną energją uderzyli Rusini na nasze pozycje. Grad pocisków armatnich od rana do późnej nocy sypał się na szkołę Kadecką.

Nawet dobry Krasnoludek, który pewnej nocy odwiedził Lusia w okopie, nie wiedział, co począć.

— Różne figle im płatałem, — mówił — różne robiłem im kawały, ale to nic nie pomaga. Wczoraj przy pomocy wszystkich niemirowskich Krasnoludków, zbudowałem na waszym cmentarzu wysoki płot, najeżyłem go kolcami głogu, jak to wy robicie tym drutem kolczastym, ale te chamy musiały być pijane, bo przeszły mimo i wcale mego płotu nie zauważyły, tak jakby go nie było. To też nie mam dla nich wcale serca i radbym ich wytępić, co do nogi.

— Dziękuję ci, mój Krasnoludku! — zawołał Luś. — Sam bym to chętnie zrobił, ale nie wiem jak.

— W każdym razie licz na mnie. Będę zawsze pamiętał o tobie, mój Lusiu!

Od paru dni Wojtek nie wychodził z koszar — bolało go gardło i głowa i Luś, który kochał go, jak brata, był najgorszych myśli. To też rozmowa z Krasnoludkiem dodała mu otuchy.

Dnia tego, powróciwszy z pozycji, zastał Wojtka nieco zdrowszym. Ucieszył się z tego niezmiernie i z lżejszem sercem położył się w kącie izby w celu przespania się po nocy spędzonej w okopie, ale nie mógł zasnąć, bo ogień huraganowy nocy tej nie milkł zupełnie. Dzwoniły szyby, trzęsły się mury i tynk sypał się z sufitu

na głowę. Pod osłoną tego ognia zajęli Rusini tej nocy ponownie i cmentarz Stryjski i park Kilińskiego.

Widocznie nic a nic nie pomogły płoty i barykady niemirowskich Krasnoludków.

Odtąd dni szły coraz gorsze.

Smutek wielki zapanował śród obrońców szkoły Kadeckiej. Siedzieli, jak na wyspie, odcięci od swoich, otoczeni wrogami. Liczba ich malała z dniem każdym i krąg się zacieśniał coraz bardziej.

Zdawało się, że już ginie nadzieja ratunku.

Żołnierze wracali z okopów zdenerwowani i snuli się, jak błędni, po korytarzach, pod szalejącym ogniem nieprzyjacielskich pocisków. Właściwie ciągle byli na pozycji.

— Sądny dzień nastał — zadecydował pewnego dnia stary kapral, nabijając krótką fajeczkę niedopałkami cygar komendanta.

I naprawdę był to sądny dzień. Pod wieczór w całym gmachu nie było już ani jednej szyby i wiatr po salach chodził i trzaskał drzwiami na korytarzach.

Komendant zamknął się w sali na dole i nad czemś radził z oficerami do późna.

Noc już była zupełna, gdy kazał zawołać Lusia.

Zerwał się Luś ze swego koca w kącie, na którym leżał obok wyzdrawiającego Wojtka, i tak, jak był, stanął przed komendantem.

Przyjaźnie powitał go komendant, po koleżeńsku wyciągnęli do niego ręce oficerowie.

— W was, obywatelu, pokładamy nadzieję! — zawołał komendant.

Stropił się Luś, nasrożył i stanął na baczność.

— Rozkaz! — zawołał.

— Żaden rozkaz — powiedział komendant — mamy propozycję. Macie dobry wzrok i młode nogi, a do tego, co chcemy wam zaproponować, trzeba mieć dobre oczy i nogi. Prawdopodobnie będziemy musieli wkrótce kapitulować. Brak nam ładunków i ludzi.

Uchwaliliśmy wysłać wiadomość o tem do Sztabu Generalnego. Czy podejmujecie się to załatwić?

— Wedle rozkazu! — zawołał Luś, a tak mu się oczy zaświeciły, że wszystkim naraz zrobiło się raźniej.

— Skąd jesteście? — zapytał komendant.

— Z Warszawy.

— Więc Lwowa nie znacie?

— To nic! Bylebym mapę miał i wiedział dokąd iść.

— Mapę wam damy i sam wam wszystko wytłomaczę. Dam wam malutką karteczkę, którą zaszyjecie sobie w kołnierzu. Idźcie więc i szykujcie się do drogi, a ja was za chwilę zawołam.

Stuknął Luś nogą o nogę i wyszedł z sali.

Jakaś radość szalona wypełniła jego całą istotę. Przyszedł mu na myśl Skrzetuski ratujący Zbaraż. Pójdzie, jak Skrzetuski. I pomyśleć, że wybór padł na niego! Co za szczęście! Wyspowiadał się z tego przed Wojtkiem i prosił go o sekret.

Zrazu Wojtek oświadczył mu, że pójdzie z nim razem, Luś jednak o tem nawet słyszeć nie chciał. Nie może z nim iść przedewszystkiem dlatego, że jest chory, a powtóre i dlatego, że trzeba się przekradać przez placówki nieprzyjacielskie, pełzać na brzuchu i stąpać na palcach.

Wieść o tem, że Luś za chwilę wyruszy, jako kurjer do Sztabu Generalnego błyskawicznie rozeszła się po koszarach.

Taboryta był oburzony i wściekły.

— Nie chodź! — wołał — Jak można posyłać dziecko na taką wyprawę? Nie chodź!

Ale Luś był podniecony. Tupnął nogą i spojrzał na Taborytę wyzywająco.

— A wam co do tego! — zawołał — To moja sprawa!

Zabolało Taborytę zachowanie się Lusia. Bał się o niego i dlatego chciał, żeby go kto inny zastąpił. Odszedł więc w kąt i dopiero wówczas wybuchnął, gdy mu któryś z kolegów rzucił:

— Wybyście chcieli, żeby wszyscy siedzieli na tyłach, jak wy.

Tych wszystkich jednak przedziwnie brzmiących wyrazów, których w odpowiedzi swej użył Taboryta, Luś nie słyszał, wezwano go bowiem do komendanta.

Długo, bardzo długo tłumaczył komendant Lusiowi, jak ma iść, gdzie może spotkać Rusinów, gdzie najlepiej się ukryć i jak do Sztabu Generalnego trafić. To też sporo czasu minęło, zanim Luś ukazał się znowu na sali z dużą latarką na piersi, planem Lwowa w ręku i małą kartką papieru w kieszeni.

A ledwie Luś się znalazł na sali, wnet przyszła sanitarjuszka i zgrabnie zaszyła mu tę kartkę papieru, którą miał w kieszeni, do kołnierza jego kurtki uczniowskiej, kartka ta bowiem była listem do szefa Sztabu Generalnngo.

Luś stał nad sanitarjuszką i cały czas przyglądał się jej robocie, chciał własnemi oczami widzieć, gdzie się kartka znajduje.

Ta młoda sanitarjuszka przypominała mu Mirutkę z Niemirowa i pewnie była uczennicą, którejś z lwowskich pensyj.

Gdy robota była skończona i wszystko było do drogi gotowe, musiał Luś jeszcze raz całą swoją marszrutę opowiedzieć kapralowi. Jak pójdzie, gdzie skręci, w którem miejscu będzie najniebezpieczniej.

— Tak, tak... — potakiwał wciąż kapral, a chcąc mu kierunek drogi pokazać, wyprowadził go na podwórze i potem za bramę.

Tak, nie pożegnawszy się z kolegami, znalazł się Luś z kapralem za bramą, gdzie, gdy się dowiedział, że kapral ma go zamiar aż do pola odprowadzić, zapomniał o Wojtku i kolegach.

— Chodźmy już, panie kapralu! — zawołał.

Szli tedy w mroki czarnej nocy milcząc, tylko w dwóch miejscach wymieniwszy hasło z wartami, koło wysokiego parkanu, minęli jakąś szopę, za którą skończył się chodnik i gdzie nogi ich zaczęły grzęznąć w błocie.

Noc była czarna, jak smoła, ale oczy Lusia powoli przyzwyczajały się do mroku i zaczynały rozróżniać przedmioty.

— Byle tylko nie zabłądzić... — myślał, rozglądając się dokoła.

Lwów leżał gdzieś w dole na prawo, niewidoczny dla oczu, welonami czarnej mgły spowity, skrzydłami czarnej nocy nakryty.

Po chwili wreszcie znaleźli się na polu.

— Tu się rozstaniemy — powiedział kapral.

Luś wyciągnął rękę, chcąc się z nim pożegnać, kapral jednak chciał mu jeszcze dać ostanie wskazówki.

— Czy widzisz tę kępę drzew tam daleko? — zapytał.

— Widzę.

— Otóż idź wprost na te drzewa. Gdy się pod niemi znajdziesz, skręć na prawo. Znajdziesz tam bitą drogę biegnącą w dół. Ta drogą idź i nie zbaczaj, aż dojdziesz do mostu. Byleś ten most szczęśliwie przebył. Widzi mi się, że na nim już muszą być placówki ruskie...

Zamyślił się kapral.

— Oczywiście, że tam już stoją Rusini — powiedział po chwili — więc możebyś ten most wyminął... Co? Jak myślisz? Strumyczek ten można przeskoczyć.

— To wyminę.

— A no tak. Droga będzie wciąż biegła w dół. Gdy poczujesz, że już zeszedłeś na dół, t. j. gdy ci z pod nóg droga uciekać przestanie, wówczas rozejrzyj się uważnie. Koło mostu są krzaki. Gdy je ujrzysz, skręć na lewo i idź łąką, Wchodząc do strumyka, stąpaj ostrożnie, badaj nogą grunt. Żebyś do jakiej jamy nie wpadł. Pamiętaj!

— Wedle rozkazu! — zawołał Luś.

Uśmiechnął się stary kapral pod wąsem i dodał:

— A gdy przebrniesz strumyk i wdrapiesz się na górę, znajdziesz się w blizkości miasta. Po prawej stronie będzie cytadela — znasz ją, a dalej już wiesz.

Uścisnął kapral Lusia, ucałował serdecznie i mrucząc coś pod nosem, do koszar zawrócił.

Luś chwilę odprowadzał go oczyma. Został sam w pustem polu z ciemną nocą i nie czuł trwogi. Coś wołało go i ciągnęło

na to puste pole pod grube czarne skrzydła ciemnej nocy. Była to nadzieja uratowania ginącej placówki, nadzieja uratowania Lwowa. A tak wierzył mocno, że dopnie celu, że nawet przez myśl mu nie przeszło, że może zginąć.

Więc kiedy postać kaprala zginęła w mroku, ruszył w stronę ledwie widocznej kępy drzew na widnokręgu. Szedł potem na przełaj. Czarna noc zawsze oszukuje ludzi nieprzywykłych do niej i tym razem czarna noc oszukała Lusia, skróciła mu bowiem przestrzeń dzielącą go od kępy drzew, tak znacznie, że dopiero gdy zaczął iść, przekonał się, że te drzewa rosły bardzo daleko i że to pole było bardzo długie. A gdy wreszcie dobrnął do tych drzew nieszczęsnych, był tak zmęczony, że odnalazłszy drogę, usiadł na kamieniu przydrożnym, żeby odsapnąć.

Siedząc tak, wpatrywał się w mrok, w którym ginął biały pas drogi i wówczas dopiero przypomniał sobie Krasnoludka. Spotka go pewnie koło mostu, w miejscu najgorszem.

Myśl ta dodała mu energji, więc wstał i poszedł we wskazanym przez kaprala kierunku. Wkrótce też twarda droga zaczęła mu z pod nóg uciekać i to go upewniło w tem, że nie zbłądził.

Wówczas zmęczenie odeszło od niego zupełnie, odleciało w mrok, niby ciężki ptak i Luś poczuł, że mu skrzydła u ramion urosły i że idzie, ledwie dotykając nogami ziemi.

Tuż w mroku gdzieś blisko było niebezpieczeństwo. Siedziało na moście i czekało na niego.

— Ho, ho! Czekaj tatka latka! — myślał Luś — Dobrze, że cię ominę i że ci krzywdy nie zrobię! Ho, ho!

Wkrótce poczuł, że jest już na dole, i przyjrzawszy się uważnie, dojrzał w mroku niskie krzaki przy drodze.

Przy tych niskich krzakach musiało siedzieć niebezpieczeństwo. Podniósł Luś pięści do góry i pogroził.

— Siedź sobie i do dnia sądnego! — zawołał i zeszedł z drogi. Nogi jego ugrzęzły w mokrych i miękich trawach i wy-

dało mu się, że jest na łące niemirowskiej, którą przeszywa strumyk i droga wiodąca na stację.

Więc szedł tą łąką i dziwił się, że dotąd nie spotkał Krasnoludka, myślał bowiem, że tu go spotka napewno.

Tak dobrnął do strumyka, ale i nad strumykiem nie było Krasnoludka. Strumyk był mały i Luś postanowił go przeskoczyć.

— Raz... dwa... trzy... — wyszeptał i wpadł do wody. Znać i tym razem jego dobre oczy oszukała czarna noc.

Ostry, szczypiący chłód schwycił go za łydki i wówczas przyszły mu na myśl słowa starego kaprala, który upominał go, żeby nogą sondował grunt w wodzie. Uznał jednak, że może tego nie czynić, znajdował się bowiem tuż przy brzegu.

A gdy na brzegu się znalazł, zaczął się wspinać pod górę. W jednem miejscu jakieś mokre krzaki chciały go zepchnąć na dół. Oparł się ich zbrodniczym zakusom i po chwili był już na szczycie.

A ledwie zdążył się wyprostować, rzucili się na niego jacyś ludzie i powalili go na ziemię.

Więc to nie na moście czekało na niego niebezpieczeństwo. O dobry Krasnoludku, czemuś nie przyszedł?

Luś uczuł ból w plecach i nogach. Jakiś duży i ciężki drab gniótł go kolanami do ziemi. Ścisnął więc zęby, żeby nie krzyczeć i palce wbił głęboko w ziemię.

Wyć i płakać chciało mu się z rozpaczy... Nie uratuje już ginącej placówki! O dobry Krasnoludku, czemuś nie przyszedł?

— Tak zginął królewicz — myślał Luś — królewicz, który chciał uratować królewnę.

Tymczasem poczuł, że go siedzący na nim drab coraz mniej gniecie, że go już tylko trzyma rękami, ale ręce ma twarde jak żelazo i mocne nad miarę. Więc leżał w dalszym ciągu bez ruchu.

A ze wszystkich stron dokoła powyrastali z mroku jacyś ludzie. Rozmawiali między sobą i śmiali się, ale Luś ani słowa nie rozumiał, rozmawiali bowiem jakimś obcym zupełnie językiem.

Nagle drab, który go trzymał, zapytał szorstko:

— Chto ty?

— Żołnierz — odpowiedział Luś.

Wówczas wszyscy zaczęli mu dawać pytania, z których Luś zrozumiał tylko to, że chcą wiedzieć skąd przyszedł. Podniósł więc głowę i powiedział:

— Nie rozumiem.

Wówczas zaczęli się pomiędzy sobą naradzać, co począć. Ktoś rzucił wyraz:

— Komandir...

Ktoś inny powtórzył:

— Komandir...

Wówczas podeszli do Lusia, postawili go na nogi, i trzymając mocno z obu stron za ręce, poprowadzili w mrok.

W mroku na dole błyskały światełka.

Luś szedł i nie myślał o niczem. Miał nogi mokre, więc dzwonił zębami i drżał na całem ciele. To jedno napełniało go rozpaczą — ci ludzie mogą pomyśleć, że się trzęsie ze strachu.

W małej budce strażnika kolejowego mieszkał komendant, którego nazywano „komandirem". A mocny musiał mieć sen, bo dość długo musieli się żołnierze do drzwi dobijać — i sporo czasu zeszło, zanim wyjrzał oknem i potem drzwi otworzył.

A ledwie drzwi otworzył, wszyscy wraz z Lusiem wtłoczyli się do środka.

Niemile uderzył Lusia zapach dziegciu, tytoniu i nawozu końskiego, który buchnął na niego z głębi izby. Komendant zapalił świecę i Luś ujrzał jego kędzierzawe włosy i czarne jak węgiel, oczy.

Te oczy czarne, jakieś złe i uparte zatrzymały się na Lusiu

— Kto ty? — zapytał ochrypłym głosem.

— Żołnierz — odparł Luś.

Wówczas komendant powiedział coś, czego Luś nie zrozumiał nie spuszczając przeto z niego oczy, zawołał:

— Nie rozumiem.

— Ty Polak? — zapytał go wówczas komendant po polsku.

— Polak — odrzekł Luś.

— Żołnierz?.

— Tak jest!

— Skąd?

— Z wojska polskiego.

— Ale skąd?

Luś wciąż wpatrywał się w komendanta — w niedobrych jego oczach czytał zły wyrok dla siebie.

— Z wojska polskiego — powtórzył.

Wówczas komendant skinął głową na stojącego obok niego żołnierza i ciężka, żelazna pięść spadła Lusiowi na głowę.

Pociemniało mu w oczach i byłby upadł, gdyby go nie trzymali za ręce.

— Skąd? — Jeszcze raz powtórzył komendant.

I Luś przez zaciśnięte zęby jeszcze raz wycedził:

— Z wojska...

A ledwie to powiedział, posypały się na niego razy. Ciężkie, grube ręce, śmierdzące nawozem i dziegciem, spadały mu raz po raz na głowę, ramiona i plecy. Poczuł ból dokuczliwy w boku i krew gorącą w ustach.

Lecz Bóg się zlitował nad Lusiem, bo gdy komendant ujrzał krew ściekającą mu po brodzie, kazał zaprzestać bicia i wyprowadzić do z izby.

— Sabaka! — rzucił za nim ze złością.

A Lusia orzeźwił nocny chłód, więc szedł dość raźno po gruncie nierównym i nie otwierał oczu. Nie chciał już na nich patrzyć, nie wiedział dokąd go i po co wloką. Było mu już teraz wszystko jedno. O siebie nie dbał, o sobie nie myślał.

Byleby ich nie widzieć.

Wkrótce zatrzymali się i Luś usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Wówczas jeden z konwojujących go żołnierzy szepnął mu do ucha po polsku:

— Dopiero nad ranem ciebie rozstrzelamy.

Jednocześnie z tem wepchnięto go do izby. Luś stał nieruchomy i dopiero, gdy w zamku ponownie zgrzytnął klucz, otworzył oczy. Izba była obszerna, lecz pusta. Tylko na środku stał stół i dwie ławy.

Luś, jak nieżywy zwalił się na ławę i rozparł się na stole.

— A niech tam sobie rozstrzelają — pomyślał — Mniejsza o to!

A ledwie tak pomyślał przypomniało mu się wszystko, co przeżył... Podróż w czasie wojny... Śmierć mamusi i tatuś w Warszawie. I potem przyszedł do niego dziadunio z Niemirowa z hebanową laseczką i wszystkie ciocie i Mirutka i Hania i Jerzyk i nawet

Tom z Bobem, te wierutne głuptasy, i potem nawet stajenny, którego Wasylkiem nazywano.

A ledwie pomyślał o Niemirowie, ujrzał na stole przed sobą Krasnoludka. Stał przed nim spocony i oddychał ciężko.

— O, mój Lusiu! — wołał — tak mi przykro, żem się spóźnił! Darować sobie tego nie mogę. Zapózno dowiedziałem się o twojej wyprawie i w bibljotece naszej nie mogłem znaleźć planu Lwowa, który jeszcze niedawno tam był napewno. Pamiętam nawet, że był narysowany na bukowym liściu malinowym sokiem. Otóż szukałem tego planu i zapóźniłem się, mój drogi! Ale teraz i bez niego wiem dokąd masz iść.

Luś podniósł głowę i uśmiechnął się boleśnie.

— Nad ranem mnie rozstrzelają — powiedział.

Zaśmiał się Krasnoludek, a śmiał się tak serdecznie, że mu z kołnierzyka z impetem wyskoczyła złota spinka z brylancikiem na główce.

— Lubię, kiedy sobie żarty stroisz, mój Lusiu! Rozstrzelają... cha... cha... cha... rozstrzelają!

To mówiąc, wyjął z kieszeni małą chusteczkę od nosa, utkaną z pajęczyny, która podczas babiego lata oplata rżyska, i zaczął ścierać nią Lusiowi krew z twarzy i ust.

— O tak... O tak... teraz będziesz przystojnie wyglądał — mówił, wymachując Lusiowi przed twarzą swoją chusteczką.

Dziwną własność miała ta mała chusteczka, utkana z pajęczyny, i wybielona na rosach, bo ledwie Krasnoludek dotknął nią Lusiowej twarzy, wnet zginęło wszystko to, co go bolało i co nieznośnem zmęczeniem leżało mu na ramionach i nogach.

Poruszył ramionami, wyciągnął nogi. Nie bolały go już ramiona, nie ciążyły mu nogi...

Więc wstał.

— A teraz chodź za mną! — zawołał, widząc to, Krasnoludek. — Pójdźmy, byle prędzej! Przed przyjściem do ciebie wszystkim tym zbójom nasypałem czarnego maku na oczy — i wszyscy oni teraz śpią. Tylko nie marudź, mój drogi!

To mówiąc, podszedł do drzwi i drzwi otworzył.

Pod drzwiami na progu spał ów drab, który Lusia nad strumykiem powalił na ziemię i potem gniótł kolanami i potem bił u komendanta. Widocznie chciał sam dopilnować swojej ofiary.

Luś, idąc teraz za Krasnoludkiem, pomimo, że była jeszcze noc, zupełnie wyraźnie widział Lwów i widział w tym dalekim Lwowie zupełnie wyraźnie i ulicę i dom, do którego dążył.

Na plancie kolejowym pod murem znowu ominęli śpiącego żołnierza. Wówczas Krasnoludek powiedział Lusiowi, że jest to ostatnia warta ruska i że teraz należy przyśpieszyć kroku, żeby na czas zdążyć, bo wszakże trzeba będzie tą samą drogą powracać.

Luś też natychmiast przyspieszył kroku i pomimo, że znalazł się w dzielnicy miasta, w której dotąd nie był, nie rozglądał się dokoła, jak to dotąd zwykł był czynić.

Prędko też znalazł się przed Sztabem Generalnym i zameldował warcie.

Zapłonęły światła w całym gmachu, zadzwoniły dzwonki elektryczne na wszystkich piętrach, zatupały podkute buty na wszystkich schodach.

W tym rejwachu zginął mu gdzieś Krasnoludek i Luś oglądał się niespokojnie, nie wiedząc, gdzieby mógł być, gdy naraz ujrzał go w ciemnym kącie pod schodami.

— Bądź o mnie spokojny — szepnął mu Krasnoludek. — Znajdziesz mnie na swojej drodze napewno. Pójdę teraz dopilnować snu tych zbójów, dosypać im trochę maku na oczy.

To rzekłszy, zginął, a specjalny ordynans poprowadził Lusia na piętro do samego szefa sztabu.

Sam szef sztabu siedział pomimo spóźnionej pory za biurkiem i czekał na Lusia.

— Ze szkoły kadeckiej? — zapytał.

Luś stanął na baczność.

— Tak jest, melduję posłusznie — zawołał.

— Masz list?

— Tak jest, panie komendancie... Mam zaszyty w kołnierzu.

To rzekłszy, odszedł w kąt i jął zdejmować swoją kurtkę uczniowską. Zdejmując, zauważył, że jest cała we krwi.

Rozpruł kołnierz i wydobył małą kartkę papieru.

Zasępił się szef sztabu, czytając podaną przez Lusia kartkę.

— I nam brak żołnierzy — powiedział — amunicji jednak moglibyśmy udzielić, ale jak ją przesłać i kędy.

— Jeśli zaraz, to ja przeprowadzę, że im nawet włos z głowy nie spadnie — zawołał Luś.

— A więc zaraz.

Zadzwoniły znowu dzwonki elektryczne, zatupały ciężkie buty na schodach.

— Ten i ten, a żywo!

— Dziesięć wozów amunicji!

— Naładować piorunem i już! — krzyczał komendant i walił pięścią w stół.

— A ty — zwrócił się do Lusia — idź do mego mieszkania na górę i bądź moim gościem, tam cię nakarmią i napoją a ja tymczasem napiszę list.

Poszedł Luś na górę. Posadzono go za stołem, dano mu zupy gorącej i kawałek chleba.

Prędko uporał się Luś z zupą i chlebem, ale jeszcze prędzej szef sztabu z listem, bo kiedy Luś jeszcze jadł zupę, już mu krawiec wojskowy, bardzo do pana Niewczasa podobny, wszywał list do kołnierza.

Nie marudzili też żołnierze z naładowaniem wozów. Dziesięciu ich było, a wszyscy chłop w chłopa. Usiedli na wozach, a na pierwszym miejsce zrobili dla Lusia.

Sam szef sztabu obejrzał wozy i przyjaźnie pożegnał Lusia.

— A dużo was takich, jak ty, zuchów jest w szkole kadeckiej? — zapytał.

— Trzydziestu ośmiu — zawołał Luś — a wszyscy ode mnie lepsi!

Uśmiechnął się szef sztabu i machnął ręką.

Skrzypiąc i piszcząc potoczyły się wozy w ciemną noc, która jeszcze była na dworze. Przy rogatce na wóz, na którym siedział Luś, wdrapał się Krasnoludek. Wlazł tak, że go nikt nie widział i usiadł skulony na latarce elektrycznej, wiszącej na piersi Lusia. Z pojawieniem się Krasnoludka pierzchły Lusiowi z oczu mroki i zbladła noc.

Skrzypiąc i piszcząc, przetoczyły się wozy koło śpiącego pod murem przy plancie kolejowym wartownika i koło tego zbója, który się znęcał nad Lusiem i wjechały na most, który Luś ominął, i potem wolno, wolniutko pięły się pod górę uwieńczoną kępą drzew na szczycie.

A kiedy wjechały na wielkie pole, które ciągnęło się aż do szkoły kadeckiej i dojechały do tego miejsca, gdzie Luś rozstał się z kapralem, wspiął się na latarce elektrycznej Krasnoludek na paluszki i, ucałowawszy Lusia w brodę, zginął bez słowa.

Dzień się już robił, kiedy dziesięć wozów naładowanych amunicją, skrzypiąc i piszcząc, wtoczyło się na podwórze szkoły kadeckiej.

Wychyliły się z okien głowy. Ktoś krzyknął:

— Luś! Niech żyje Luś!

Wszyscy wybiegli na podwórze. Sam komendant pomógł Lusiowi zleźć z wozu i jął wypytywać go, skąd ma krew na kurtce

Więc opowiedział mu Luś wszystko po porządku, opowiadał, jak go Rusini złapali, jak skazali na rozstrzelanie i jak zamknęli w domku drożnika kolejowego i jak im potem uciekł.

Tylko o Krasnoludku nie powiedział Luś ani słowa.

Niestety jednak krótko trwała radość oblężonych. List przywieziony przez Lusia nie zapowiadał prędkiej i skutecznej pomocy. Coprawda przybyło im dziesięciu ludzi i dziesięć wozów amunicji, Rusini jednak z taką furją atakowali odcinek, tak zasypywali ich gradem pocisków, że już następnego dnia po powrocie z wycieczki Lusia wszelka nadzieja ratunku zdawała się być stracona.

Pod wieczór dnia tego żołnierze głodni i chłodni snuli się po nieoświetlonych salach i korytarzach gmachu szkoły kadeckiej.

Komendant zamknął się w sali na dole i nad czemś radził z kilku kolegami do późna. A gdy noc przyszła, gruchnęła radosna wieść, że nad ranem obrońcy niespodzianym wypadem popróbują przełamać ruski front.

— Niech żyje komendant! — zawołał Taboryta, a Luś z Wojtkiem z radości skakali koło niego, jak wróble.

Jakoż noc jeszcze była, gdy zaczęto zwoływać żołnierzy do szeregów.

— Zbiórka! Zbiórka! — ciche wołanie pobiegło po całym gmachu.

Ci, którzy spali, zerwali się na równe nogi, a rozmawiający po kątach urwali na pół słowie — i wszyscy po chwili stali przed szkołą pod bronią.

Wicher plunął im deszczem w oczy i pobiegł do ruskich okopów, noc odchodząc przeżegnała ich czarną ręką.

Dzień ze snu wstawał szary i smutny.

Na podwórze wyszedł komendant i przeszedł przed frontem.

— Naprzód! — krzyknął i poprowadził.

Szli tak cicho, że chociaż szli wszyscy, zdawać się mogło, że nikt nie idzie. Luś wysforował się naprzód i prawie wyprzedzał komendanta. Zdawało mu się, że go ktoś wziął za rękę i prowadzi.

I w samej rzeczy musiał go ktoś prowadzić, bo nie znając drogi, szedł w dobrym kierunku, i nie wiedział, czy to wiatr szumi mu w uszach, czy jakieś rozpostarte nad nim skrzydła.

A gdy wyszli na drogę nieosłoniętą żadnym murem, zamiast szumu skrzydeł białych usłyszał świst kul nad głową. Wówczas ogarnął go szał.

— Bij! Zabij! — ktoś krzykął mu nad uchem — i Luś zadarł głowę do góry i popędził, krzycząc:

— Bij! Zabij!

Podbiegły do niego stare drzewa i chciały go przed kulami

osłonić, ale on ominął drzewa i znalazł się bez żadnej osłony przed wrogiem.

Z jamy, w której siedział z Wojtkiem jeszcze przedwczoraj, a którą wczoraj wróg zajął, wyrósł nagle przed nim wysoki drab w mundurze austrjackim bez czapki o twarzy ospowatej i ciemnej.

Coś krzyknął w stronę Lusia, ale Luś nie słyszał i tylko zobaczył jego białe zęby — białe zęby i lufę karabinu i zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, padł strzał. Ale wysokiego draba w austrjackim mundurze nie uczył strzelać stary kapral z sumiastym wąsem, bo kula poszła gdzieś w górę. A drugi raz wystrzelić nie zdążył, bo Luś pchnął go bagnetem.

Tak, Luś pchnął go bagnetem, a tak mocno, że się potoczył na dno jamy.

Wówczas białe skrzydła, które drżały nad Lusiem od chwili, gdy wybiegł z koszar do ataku, spadły na niego i okryły go srebrnym puchem piór, żeby nie widział krwi, która ściekała po ostrzu jego bagnetu.

I Luś tej krwi nie widział i nawet wołania swego komendanta za sobą nie słyszał, a tylko gnał dalej i dalej, jak wicher. A taki był w biegu niepowstrzymany i taki dziwny, że nawet kule, które leciały w prost na niego, ujrzawszy go, skręcały na bok. A cóż dopiero ludzie? Ci, rzucając broń, gnali przed siebie, jak opętani, i tylko jeden tam już na dole zupełnie ośmielił się zagrodzić mu drogę. Wyrósł przed nim barczysty i mocny, stanął jak dom, na środku ulicy i nie chciał go puścić.

Ale Lusia już nie można było powstrzymać. Błyskawicznie kolbą karabinu uderzył wroga między oczy. Ci, którzy biegli za nim z tyłu, z pewnością nie mogli zrozumieć, jak, będąc tak małym, mógł tak wysokiej głowy dosięgnąć, to też krzyknęli z przerażenia, ujrzawszy padającego olbrzyma pod kolbą małego Lusia i zaczęli wołać, żeby się zatrzymał. Ale Luś ich nie słyszał. Krew tętniła mu w skroniach i wiatr szumiał w uszach, więc biegł wciąż dalej i dalej...

Tak biegnąc, jak burza, wpadł na placyk św. Zofji, gdzie u wylotu ulicy terkotał karabin maszynowy. Żołnierze, ujrzawszy go pędzącego, rzucili się do ucieczki i Luś znalazł się na środku placyku sam nad karabinem maszynowym i dopiero wówczas się zatrzymał i oprzytomniał.

Poznał placyk i odrazu zrozumiał, że dalej biec nie może. Stąd było już bardzo blisko do mieszkania babci i to go zatrzymało w biegu. Gdyby był nieostrożnie zapuścił się dalej i dopadł do swego mieszkania, skończyłaby się dla niego wojna, boby go babcia nie puściła z domu, a przecież Lwów był jeszcze w rękach wroga i na ratuszu dotąd jeszcze powiewała żółto-niebieska chorągiew.

Te myśli, jak ciężary ołowiane, położyły mu się na nogach i nie pozwoliły mu biec dalej, stał więc nad karabinem maszynowym bezradny i patrzył w stronę domu babci, jakby tam się właśnie czaił wróg.

A tymczasem nadbiegł z szablą w ręku komendant i Wojtek

z wywieszonym językiem, zupełnie bez broni, tak jakby gonił Berka, i potem jeszcze kilku żołnierzy.

Otoczyli go kołem i nuż wydziwiać:

— Karabin zdobył!

— I cmentarz stryjski!

— Aż tu się zapędził!

— Ho! ho!

A komendant podszedł do Lusia i zaczął go klepać po ramieniu.

— Winszuję koledze! – powiedział, wyciągając do niego rękę.

— Wiwat, kolego! Wiwat! — zawołali żołnierze.

A Luś myślał tylko o tem, że stąd bardzo blisko do mieszkania babci i że tu jest najniebezpieczniej. Jeśli zapuszczą się dalej, czeka go prawdziwa klęska.

Obawy te jednak bardzo prędko rozwiał komendant.

— Tu się zatrzymamy — powiedział i z żołnierzami, którzy się tymczasem ze wszystkich stron pozbiegali, jął formować nową pozycję.

Noc już zapadała, gdy dnia tego Luś z garstką walecznych żołnierzy i z rozbrojonym Wojtkiem wrócił na obiad do koszar. Jasno paliła się elektryczność, smaczna była zupa żołnierska bez okrasy i chleba, nikomu nie zawadzał chłód, wciskający się do sali przez potłuczone w oknach szyby.

Rej na sali wodził ma się rozumieć Taboryta. Zachwycał się Lusiem i opowiadał o sobie. Ponieważ szedł ostatni, nikt nie widział, jakich cudów dokonał i nikt nie miał pojęcia o jego waleczności. Śmiali się z tego opowiadania żołnierze, kiwał stary kapral głową i uśmiechał się pod wąsem.

— Mógłby kto pomyśleć, że mówi prawdę... — mruczał pod nosem.

Ale nikt chyba tego prócz Lusia i Wojtka nie pomyślał. Ci zaś z największym zachwytem patrzyli na Taborytę i zazdrościli mu sukcesów.

A nazajutrz od wczesnego rana do późnego wieczora cisza

wielka panowała na odcinku szkoły kadeckiej i w całem mieście. Po wczorajszej porażce Rusini zawarli zawieszenie broni z Polakami i gdyby nie to, nie wiadomo, czy udałoby się szczupłej garstce obrońców szkoły kadeckiej utrzymać tak szeroki front.

A następnego dnia po krótkiej wymianie strzałów zaczęli Rusini, przerażeni niepowodzeniem, uciekać ze Lwowa, pozostawiając za sobą składy broni i amunicji.

Wieczorem zginęła z ratusza chorągiew żółto-niebieska i po nocy pełnej niepokoju, po nocy, w której, jak wielki Lwów, nikt nie spał, na miasto wyruszyły patrole wojska polskiego.

Ludzie patrzyli na polskich żołnierzy i nie wierzyli własnym oczom. Więc wybiegali na ulicę i rzucali się sobie w objęcia nawzajem i płakali ze szczęścia. Małe dzieci, pomimo chłodu, siedziały w otwartych oknach i machały białemi chusteczkami, witając polskich żołnierzy.

Ludzie stawali na placach i na rogach ulic i opowiadali o odsieczy, która nadeszła z Przemyśla, o aeroplanie, który unosił się wczoraj nad miastem i o brawurowym ataku na odcinku szkoły kadeckiej.

Wszystko wiedzieli i nie posiadali się ze szczęścia.

A właśnie wówczas nieliczna garstka obrońców szkoły kadeckiej przeciągała ulicą Batorego pod Ratusz.

Było tam zaledwie kilkudziesięciu żołnierzy.

Na czele szedł obok komendanta Luś. Był cały błotem okryty i miał pogiętego orzełka nad daszkiem siwej maciejówki i długi, ciężki karabin z szerokim bagnetem na ramieniu. Tuż za nim szedł Wojtek bez czapki, którą podczas ataku wraz z karabinem zgubił.

— Niech żyje wojsko polskie! — krzyczały siedzące w otwartych oknach dzieci i machały białemi chusteczkami.

— Niech żyje! — podchwytywała ulica i wyciągała ręce do żołnierzy.

Pierwszy raz w życiu przeżywał Luś podobną chwilę, więc łzy miał w oczach i nie mógł widzieć, jak jego dobra i kochana

babcia z trudem przedzierała się przez tłum gapiów, żeby go porwać w objęcia.

— Babciu! — wyszeptał i rozpłakał się na dobre.

Ale i babcia była wzruszona i zrazu nie mogła mu nic powiedzieć, chociaż widziała, że płacze, więc tylko zakryła jego łzy chusteczką i szepnęła do ucha:

— Któż widział, żeby żołnierz płakał, moje złotko!

Ucieszył się Luś, że go babcia nazwała żołnierzem i przestał płakać, a przyszedłszy do siebie zupełnie, ujrzał obok babci Bazię bez chustek na głowie i bez kaloszów na nogach, wyciągającą do niego obie rączki.

— Strasznie się cieszyłam, żeście tak zrobili i strasznie po was płakałam — wołała zaróżowiona z radości.

A tymczasem komendant zdał panu Mączyńskiemu raport, a musiał mu powiedzieć o wszystkiem, bo w chwilę potem przeczytano przed frontem pochwałę dla Lusia za jego męstwo i bohaterstwo. I gdyby Luś nie był wówczas zajęty Bazią, byłby zobaczył, jak podczas czytania dwie duże łzy wybiegły z oczu babci i spadły na chusteczkę — a były to łzy wielkiego szczęścia.

IV

Huczno i gwarno było dnia tego w białym domku pani Nowowiejskiej do późnego wieczora. Przyszli wszyscy bliżsi znajomi i wszyscy dalsi znajomi, dziwowali się i winszowali babci.

Witała miłych gości babcia słodkim uśmiechem i chodziła od jednego do drugiego rozpromieniona, a za nią szła mała Bazia i dygała przed każdym i mówiła:

— Aha! Luś wszystko może zrobić!

A na obiad przywlókł się Taboryta, który miał dobre serce i lubił smaczne obiady. Ten, gdy mu obiad przypadł do smaku, a chłopca przez chwilę nie było w pokoju, jął mówić o Lusiu.

— Nie uwierzy pani, co to za zuch. On to właściwie spowodował klęskę Rusinów, natłukłszy ich całe sterty.

Bazia aż przysiadła z zachwytu.

— Całe sterty — powtórzyła wzruszona.

A babcia rozpłakała się i wyszła do siebie na momencik.

Tak zeszedł Lusiowi ten radosny dzień, i gdy goście późnym wieczorem się rozeszli, sen go zmorzył.

A trzeba wam, mili czytelnicy, wiedzieć, że podczas ostatnich

wakacyj, które Luś spędził w Niemirowie przyśniło mu się pewnego razu Zatopione królestwo i zaklęta w szklanym pałacu, na szklanej górze królewna.

W śnie tym Luś poznał potężne, tajemnicze państwo, polubił jego obywateli i nawet z pewnym staruszkiem, który nazywał się bratem Nazarym zaprzyjaźnił się naprawdę.

Teraz więc, gdy Luś odniósł walne zwycięstwo i spał w najlepsze w swoim pokoju, na swojem białem łóżeczku, mieszkańcy Zatopionego Królestwa z incjatywy brata Nazarego, postanowili go uczcić godnie.

To też ledwie Luś zasnął, wnet znalazł się na zielonej i kwitnącej łące, na którą, wyprzedziwszy wszystkich, wyszedł brat Nazary na jego spotkanie.

A stało wówczas na łące, którą Luś szedł, pod szafirowem niebem wielkie słońce i piło z ziół i kwiatów miody pachnące, a pijąc rozlewało dokoła słodycz wonną, niczem małmazję najprzedniejszą.

Łykał ślinkę brat Nazary, bowiem lubił wszelkie słodycze, i zakrywając się od słońca ręką, wyglądał Lusia, a gdy go ujrzał zdaleka śród morza ziół i kwiatów, zawołał:

— Bywaj, przyjacielu, bywaj!

Usłyszał Luś wołanie, a, ujrzawszy brata Nazarego, ucieszył się niezmiernie, więc zdjął z głowy siwą maciejówkę z pogiętym orzełkiem i zaczął nią wymachiwać.

Ujrzawszy to, słońce przestało pić z ziół i kwiatów miody pachnące i zaczęło kłuć Lusia w oczy i tak go oślepiło, że dopiero zbliżywszy się zupełnie, dostrzegł on niemy zachwyt, który malował się w oczach brata Nazarego, więc wzruszony rzucił mu się na szyję i jął go całować i ściskać.

— Tyżeś to, mój kochany? — mruczał brat Nazary, również, jak Luś wzruszony, przyglądając się mu z macierzyńską niemal miłością. — Takeś się zmienił, takeś wysechł i zmężniał, żeś się stał podobnym do owego portrecika, który wisi nad twojem łóżkiem

we Lwowie. Bo trzeba ci wiedzieć, że wówczas kiedyś ty był na wojnie byłem we Lwowie i nawet w twoim pokoju.

— Do Kościuszki? — zapytał Luś zdumiony.

— Nie mówiłeś mi, że się tak nazywasz — zawołał brat Nazary.

— Ależ, bo ja się tak nie nazywam — i to nie jest mój portret!

Uśmiechnął się brat Nazary i głową pokręcił.

— Nie dziwię się, że się ciebie żarty trzymają, mój mały! — powiedział i ujął go pod rękę i poprowadził w stronę miasta.

Jakoż wkrótce z opyłów słonecznych nad morzem kwiatów barwnych wystrzeliła przed nimi złota igła z kopuły Izby Ojców najwyższych i czerwony tum kościoła Czterech Męczenników i wreszcie szary pas muru okalającego miasto z pięknym łukiem bramy, w której trzymał straż brat Furtjan.

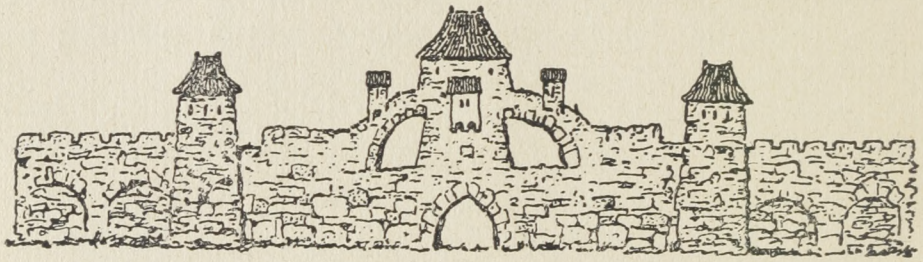

Zdziwił się Luś, ujrzawszy przed bramą powozy dworskie i wielki tłum ludzi i barwne oddziały gwardji królewskiej i ginącą w powodzi kwiatów, ustawioną na złotym trójnogu marmurową urnę ze swemi łzami, które wypłakał ongiś, rozmawiając z bratem Nazarym o Polsce, a dokoła której teraz pląsały małe dzieci w białych sukienkach.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał brata Nazarego.

— Jakto, nie wiesz? — zdziwił się brat Nazary — Oni wyszli na twoje spotkanie.

— I król?

— Oczywiście, że i król — odparł brat Nazary i pociągnął go za rękę, bo Luś już chciał uciekać, a pod miastem ozwała się orkiestra wojskowa i małe dzieci w białych sukienkach zaczęły śpiewać jakąś pieśń powitalną.

— Idź wprost do króla — powiedział mu brat Nazary i sam został w tyle.

W takt marsza, którego grała orkiestra wojskowa, zbliżał się Luś do powozu królewskiego i widział, jak, ujrzawszy go, król wraz z królową wysiadł z powozu i szedł na jego spotkanie. Wówczas małe dzieci w białych sukienkach, śpiewając pieśń powitalną, otoczyły ze wszystkich stron Lusia i prowadziły do króla.

Długo trzymał król miłościwy Lusia w objęciach, długo białą ręką gładziła jego płowe włosy królowa pani i długo brat Kala-

santy, marszałek dworu, ustawiał małe dzieci w białych sukienkach, które miały iść przed powozem królewskim aż do zamku i rzucać kwiaty.

Aż wreszcie skończyła się ceremonja powitalna i królestwo wraz z Lusiem siedli do powozu.

Nisko, niziutko kłaniał się w bramie Lusiowi brat Furtjan i długo potem patrzył na oddalający się orszak królewski przez dziurkę największego klucza, który zastępował mu lornetkę.

Nisko, niziutko kłaniali się Lusiowi dostojni mieszczanie w aleji Błędnych Rycerzy, a w otwartych od dołu do góry oknach powiewały białe chusteczki.

Wszystko nosiło na sobie cechę jakiegoś uroczystego obchodu, jakiegoś narodowego święta — a spotykani na ulicach przechodnie nie mieli już na sobie białych habitów, które nosili na znak żałoby.

Dziwił się Luś i oczom swoim nie wierzył.

— Poddani twoi, najmiłościwszy panie, już nie noszą żałoby? — powiedział, zwracając się do króla.

— Radującym się i weselącym nie przystoi szata żałobna — odrzekł król i spojrzał na królową, jakby szukając w jej wypłakanych oczach potwierdzenia.

— Jakto? a królewna... — zaczął Luś i urwał... Głos zamarł mu w gardle na samą myśl o królewnie... Co się z nią stało, skoro się wszyscy weselą?

— I ty, ty o to pytasz? — zawołał król.

Więc szeroko, bardzo szeroko otworzył Luś oczy. Dlaczego właśnie on miałby wiedzieć, co się stało z królewną? Wszakże tu nie był tak dawno!

— Nic nie wiem, najmiłościwszy panie — powiedział.

Zdumiał się stary król i palcem Lusiowi pogroził.

— Wszakże sam sprawcą jesteś naszego wesela — powiedział.

— Ja? Jako żyw nic nie wiem! — zaprotestował Luś.

Wolno, wolniutko posuwał się powóz dworski naprzód, otoczony kołem małych dzieci w białych sukienkach, rzucających ko-

niom pod nogi i pod koła powozu pęki najpiękniejszych kwiatów, a stary król tak mówił do Lusia:

— Czemu się zapierasz, mój chłopcze. Dzięki twej waleczności powróciła nam córka i powrócił nasz syn. Za chwilę ujrzysz ich oboje. Wraz z nimi powrócili i trzej rycerze błędni. Jakże nie mamy się radować?

— Dzięki mnie? — zawołał Luś zdumiony.

Spojrzał stary król na królowę znacząco i zawołał:

— Patrz kobieto, co to za skromne i kochane dziecko!

I zaczął król Lusia gładzić po głowie i brać pod brodę, co widząc dostojni mieszczanie jęli wołać:

— Niech żyje Luś!

Jedni podawali drugim głos i po chwili całe miasto krzyczało:

— Niech żyje Luś!

A gdy orszak królewski mijał ulicę Piątego Koła u Wozu, ujrzał Luś ciotecznego brata Nazarego ubranego odświętnie, w przedwojennych butach z cholewami na nogach i z zeszytem wierszy w ręku.

— Mówiłem, że zwyciężysz — zawołał, gdy się powóz królewski z nim zrównał.

A potem dodał z patosem:

— I zwyciężyłeś...

Uśmiechnął się do niego Luś i ręką w jego stronę machał, ale nic mu nie odpowiadał, bo nie wiedział, czy na to pozwala etykieta dworska.

Ale zato brat Uczony, który się wcale na etykiecie dworskiej nie znał, ujrzawszy orszak królewski, zatrzymał go mimo gorących protestów marszałka dworu, brata Kalasantego i braci Porządkowych, i, wskoczywszy na stopień powozu, wsunął do środka swoją mchem obrosłą głowę i pisnąwszy kilka razy z rzędu, zawołał:

— A co? i bez gazów trujących zwyciężyłeś... A co?

Stary król brwi zmarszczył, bo mu się ta poufałość brata Uczonego nie podobała, ale nic nie rzekł, nie chciał bowiem Lusiowi zrobić przykrości.

A brat Uczony milczeniem króla ośmielony tak w dalszym ciągu mówił:

— Bo widzisz, ja wiedziałem, że ci Niemcy, którzy Rusinów na was uzbrajali, nie są już tym wielkim narodem, którego należy się bać. Wiedziałem, że to są już bandyci, włóczący się po pobojowiskach i obdzierający trupy. Wyczytałem to w 1375 tomie Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej, w którym zamieszczono wszystkie ujemne wartości, zaczynające się od „nie", wszystkie niecnoty i nieprawości, gdzie oczywiście i Niemców odnalazłem.

To mówiąc, brat Uczony podskoczył na stopniu, co przeraziło królowę, powóz bowiem zakołysał się na resorach, jak łódka na wodzie.

— Co robisz? — zawołał król, a marszałek dworu brat Kalasanty schwycił go za kołnierz i ściągnął ze stopnia i brat Uczony szedł jeszcze czas jakiś obok powozu, piszcząc żałośnie, czego oczywiście już mu marszałek dworu, brat Kalasanty, nie bronił, jako że był to dzień, w którym każdy mógł swe uczucia w dowolny sposób objawiać.

Tak dojechał Luś z królem i królową do Zamku.

A gdy się powóz królewski przed krużgankiem zamkowym zatrzymał na najwyższym stopniu marmurowych schodów, zasłanych wzorzystym kobiercem, ukazała się piękna królewna wsparta na ramieniu królewicza. Królewicz miał hełm złoty na głowie, a królewna sznur pereł we włosach.

A gdy ją Luś ujrzał, skamieniał ze zdziwienia i głosem nieswoim zawołał:

— Baziu!

A ona obie ręce wyciągnęła do niego i zawołała:

— Skąd wiesz, że tak się nazywam?

A królewicz zdjął z głowy złoty hełm i nisko się Lusiowi ukłonił.

Wówczas wzięła królewna Lusia za ręce i poprowadziła do komnat.

Szczęknęli zbrojami w przedsionku trzej błędni rycerze, prezentując broń przed Lusiem, w jakiejś alkowie ukrytej w głębi, ochrypłym głosem stara papuga zaczęła krzyczeć:

— Bywaj! Bywaj!

I duży pies faworyt królewski przypadł Lusiowi do nóg i zaczął się łasić i skomleć z radości.

Wszystko w zamku królewskim witało Lusia, jak swego.

A królewna Bazia zaprowadziła go do sali tronowej i usadowiła na złoconym stolcu i jęła opowiadać mu o swojej niewol

— Widziałam ciebie, Lusiu, i twoją pieśń słyszałam — mówiła wzruszona. — Ty musiałeś zwyciężyć!

Gdy to rzekła, oznajmił im marszałek dworu, brat Kalasanty, że obiad już na stole i że królestwo czekają.

Jakoż oboje królestwo siedzieli już za stołem, gdy Luś poprzedzany przez królewnę, a prowadzony pod ramię przez królewicza, wszedł do jadalni.

Po wielu ukłonach i dygach posadzono Lusia na miejscu, na którem zwykł był siadać król.

Długo, bardzo długo ciągnęła się uczta. Giermkowie na tacach złotych wnosili coraz to nowe dania i do kielichów kryształowych, do czar rżniętych i złotem okutych nalewali win coraz to słodszych.

Jadł Luś i pił i w duchu dziwił się sam sobie, że wszystkiemu temu podoła.

A stary król, zmiatając ze złotych talerzy najsmakowitsze kęski, mówił:

— Długi szereg przodków moich z Izydorem Pierwszym na czele nie dostąpił tego zaszczytu, żeby w murach tego zamku gościć tej miary bohatera, co ty.

To mówiąc wypił król olbrzymią czarę musującego wina i spojrzał na Lusia.

— Uratowałeś dynastję! — zawołał.

Luś, który w koszarach i okopach pogubił wszystkie trudniejsze wyrazy z historji, nie wiedział, co to jest dynastja, którą uratował i gubił się w domysłach, coby to być mogło, gdy naraz wniesiono do sali niebieskie migdały.

Był to już koniec obiadu.

A po obiedzie wziął król Lusia za rękę i poprowadził do sali tronowej.

— Imię twe — mówił, mijając długą amfiladę komnat prawie pustych — wypisać kazałem na złotej tablicy obok imion mężów najznakomitszych, portret twój kazałem zawiesić w sali tronowej na wieczną rzeczy pamiątkę.

I ujrzał Luś w sali tronowej swe imię na złotej tablicy i przed tablicą na ścianie portret Kościuszki.

— Niech im się zdaje, że to mój portret — pomyślał — coś im się przywidziało z tym portretem Kościuszki.

W trakcie tego, sędziwy król znużony biesiadą, oddalił się do swoich apartamentów, błędni rycerze wraz z królewiczem poszli na papierosa do palarni, a piękna królewna pobiegła do swych komnat układać do snu w złoconych kołyseczkach na haftowanych pierzynkach swoje rozkapryszone podczas jej nieobecności laleczki i Luś pozostał w sali tronowej pod złotą tablicą sam, z kłopotliwemi myślami o Marychnie i Hani. Postanowił więc z tego skorzystać i wymknąć się z zamku. Chciał wpaść do brata Nazarego i zapytać go, co to wszystko znaczy, bo czuł, że całe to przyjęcie jest jego dziełem.

Jakoż uczynił to, co zamierzał i po chwili biegł już pod osłoną ciepłej księżycowej nocy do mieszkania brata Nazarego.

Nie spał jeszcze wówczas brat Nazary, lecz stał w otwartem oknie i rozmawiał z księżycem o nim. Opowiadał mu widocznie o Lusiowem bohaterstwie i o jego portreciku nad łóżkiem, bo zielony księżyc, który był starym filutem, trząsł niedowierzajaco głową i za nic nie mógł się z bratem Nazarym zgodzić.

A brat Nazary, ujrzawszy pod oknem Lusia, zaraz się od-

wrócił do księżyca tyłem, jakby się na niego zagniewał, i poszedł otworzyć drzwi.

— To ja! — zawołał Luś, rzucając mu się na szyję.

— Wiedziałem, że przyjdziesz... wiedziałem... — mówił brat Nazary, gładząc jego płową czuprynę.

Lusiowi stanęły łzy w oczach.

— Powiedz mi, co to wszystko znaczy? — zawołał i rozpłakał się na dobre.

— Witają mnie, jak króla, — mówił łkając — a ja nie rozumiem, co to wszystko znaczy.

Przycisnął go mocno brat Nazary do piersi, a potem posadził na fotelu i długo przyglądał mu się z zadowoleniem.

— To dobrze! To dobrze, że nie rozumiesz! — zawołał wreszcie — właśnie tacy, jak ty nie powinni rozumieć. I dlatego jestem pewny, że się nie omyliłem, składając raport o tobie w Izbie Ojców najwyższych.

— Ale ja nic nie rozumiem — z rozpaczą w głosie zawołał Luś.

A brat Nazary wyciągnął do niego obie ręce i zawołał z zachwytem.

— Jakiż ty jesteś teraz podobny do swego portrecika nad łóżkiem? Zielony księżyc, który to słyszał i jednocześnie z bratem Nazarym patrzył przez weneckie okno na twarz Lusia, zaczął potakująco kiwać głową. Co widząc, brat Nazary zaczął się śmiać do księżyca i lampę abażurem tak zasłonił, że zielony księżyc wszedł przez okno cały do pokoju i usiadł między nimi na stole.

Wówczas brat Nazary w te odezwał, się słowa:

— Rozbudziliście Polskę i pękła piekielna moc złych duchów.

— Jakto? Więc myśmy rozbudzili Polskę? — zdziwił się Luś.

— Patrz, stary filucie, — zwrócił się brat Nazary do księżyca — on nic nie wie! Zupełnie, jakby spadł z księżyca.

Poruszył się na to zielony księżyc na stole i zaczął kiwać błyszczącą głową.

— Oni wszyscy spadli ze mnie — powiedział.

Wówczas i brat Nazary i Luś prawie jednocześnie przypomnieli sobie wszystko, co im kiedyś o Polsce mówił brat Uczony. To on utrzymywał, że Polacy, odkąd są narodem bez państwa, siedzą na księżycu. A teraz sam księżyc mówi, że z niego spadli. Nie jestże to dowodem, że Polska się obudziła.

— A widzisz... a widzisz... — wołał brat Nazary — Aby obronić Lwów, spadliście z księżyca, zeszliście na ziemię. Ty sam swemi wątłemi rękami rozbijałeś ten mur, który was trzymał na księżycu.

Umilkł brat Nazary i tak siedzieli z księżycem bez słowa, a Luś ważył w sumieniu swojem wszystko, co o Polsce i o Lwowie powiedział mu brat Nazary. A gdy to czynił, twarz jego stawała się coraz podobniejszą do tego portrecika, który wisiał nad jego łóżkiem, a gdy się stała zupełnie podobną, zrozumiał odrazu głęboką treść słów brata Nazarego.

Więc przypadł mu do rąk i zaczął je okrywać pocałunkami.

— Już teraz wiem wszystko i rozumiem! — wołał w zachwycie.

— Więc teraz, kiedy wszystko rozumiesz, nie będziesz się pewnie dziwił radości, z jaką cię witamy. Bo nie masz pojęcia, co się u nas działo po powrocie królewny i królewicza. Po ulicach chodziły procesje dziękczynne. Ludzie zrzucali z siebie białe habity te szaty żałobne i tak w bieliźnie biegli do domów... Cioteczny brat mój, ów szewc z ulicy Piątego Koła u wozu już porzucił szewstwo i znowu pisze wiersze, twierdzi on bowiem, żeś zwyciężył pieśnią. Jest on naszym znakomitym poetą i na placu, na którym przedtem stał wodotrysk z bronzowemi trytonami, dziś stoi jego pomnik — wspaniały obelisk z marmuru — a na nim on bez butów... Odtąd też wszyscy poeci nasi chodzą bez butów...

Długo jeszcze mówił tak brat Nazary, aż wreszcie księżyc, chcąc kres jego gadulstwu położyć, zlazł ze stołu, na którym siedział, i ukrył się za starą topolą. Wówczas dopiero przypomniał sobie brat Nazary, że Luś po wzruszeniach tego dnia wspaniałego

musi wypocząć i przygotował mu pościel na wygodnej kanapie, która stała w kącie pokoju.

A kiedy chciał go już pożegnać, życzył mu dobrej nocy i udał się do swego pokoju.

Księżyca już nie było wcale widać i gwiazdy zaczęły powoli tracić swoją migotliwą jaskrawość, kiedy wreszcie po wszystkich wzruszeniach dnia tego zasnął mały Luś na wygodnej kanapie brata Nazarego słodkim snem.

Jakież było jego zdziwienie, gdy obudził się nazajutrz w swoim własnym pokoju, na swojem białem łóżku pod portretem Kościuszki, do którego wcale nie był przy świetle dziennym podobny.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001020099013

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
522899

5479/I Pwk